

Ze **Stanisławem Beresiem** o powstaniu *Pół wieku czyścica* rozmawia Przemysław Kaniecki

KONWICKI w puzzlach

P.K.: Panie Profesorze, w artykule napisanym z okazji osiemdziesiątych urodzin Tadeusza Konwickiego określił Pan *Pół wieku czyścica* jako „dziecko przypadku”. Na powstaniu tej książki miało zaważyć jedno nieopatrnie wypowiedziane zdanie...

S.B.: W mojej pamięci historia z Konwickim zaczęła się od łańcucha przypadków uruchomionych jednym zdaniem rzuconym w trakcie wykładu w Instytucie Pedagogicznym w Wilnie. A pewnych rzeczy widocznie nie mówi się na wiatr w pobliżu Ostrej Bramy, klasztoru Bazylianów, czy parę kilometrów od Kolonii Wileńskiej – do ludzi wychowanych w kulcie literatury. Potem już rzecz potoczyła się zgodnie z logiką śnieżnej kuli, choć wydarzenia te dzieliły lata. Po jakimś czasie bowiem napisałem, nie wiem po co, pensjonarski list do Konwickiego, a mojej koleżance przyśnił się patriotyczny sen w czasie stanu wojennego. To dziwne, ale te drobiazgi spłotyły się w pętlę przeznaczeń.

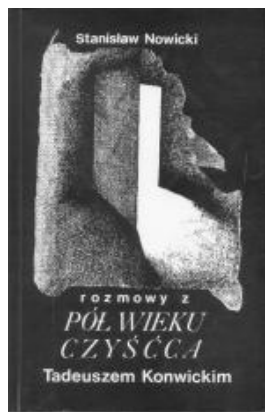
Ale wcześniej musiał Pan w ogóle do tego Wilna pojechać. Bardzo mnie interesuje ten łańcuch przypadków. Czy możemy go odtworzyć? Na Litwę wyjechał Pan – domyślam się – z wykładami w związku z Pana pracą doktorską o Żagarach?

A nie bardzo. Ja oczywiście pragnąłem znaleźć się w Wilnie, bo wiedziałem, że tam w bibliotekach jest bogactwo materiałów

do historii Żagarów, ale nikt stamtąd wcale się nie palił, żeby mnie zaprosić, bo niby dlaczego. Do Związku Sowieckiego, w którego skład wchodziła wówczas Litwa, nie można było wjechać tak sobie. Pomógł mi jak zawsze przypadek, który zrzucił, że akurat wtedy wileński Instytut Pedagogiczny nawiązał współpracę z Uniwersytetem Wrocławskim. Więc w ramach tzw. wymiany nasza dyrekcja zaprosiła grupę ich studentów, a oni poprosili o cykl wykładów „wybitnego historyka literatury”. Na pewno myśleli o prof. prof. Hernasie, Klimowiczu, Zakrzewskim, Kolbuszewskim lub Łukasiewicz, ale ponieważ nikt z nich wtedy nie mógł jechać, więc wysłali zapchajdziurę, czyli mnie. Nie było powodu, żebym się zapierał, bo strasznie chciałem tego Wilna dotknąć i posmakować.

To był koniec lat siedemdziesiątych?

Tak, ale kiedy dokładnie? Trochę mi się już miesza, bo później zapraszano mnie do Wilna jeszcze ze trzy razy. Sądzę, że to był rok 1979, bo były już opublikowane *Kompleks polski* i *Mała apokalipsa*, a ja obie te książki, jak Pan pewnie pamięta wydane w podziemiu, wiozłem ze sobą, co było dowodem mojej nieprawdopodobnej głupoty. Ale tak było. Co gorzej, wiozłem ze sobą kilka tomów wydanego w „Kulturze” paryskiej Miłosza, bo w liście intencyjnym proszono, że-



bym w tych wykładach zwrócił uwagę na wątki litewskie we współczesnej polskiej prozie i poezji. Więc się dużo nie zastanawiałem i wrzuciłem do torby tego Miłosza i Konwickiego... No, nie było to mądre, bo ja wiedziałem, jak wygląda kipsisz na radzieckiej granicy, ponieważ kiedyś jeździłem z rodzinną wizytą na Ukrainę. Wypatroszyli nas ze wszystkiego, nawet posadzili na wielkich nocnikach z kratkami i zaaplikowali środki przeczyszczające. Tym razem szczęśliwie udało mi się bez takich „przyjemności”, choć wiozłem sporo trefnych papierów. Ale mogło być inaczej.

Te wykłady były zresztą dość niezwykłym przeżyciem, bo ja byłem wtedy nędznym, dwudziestoparoletnim asystencją, a mówiłem przez dwa tygodnie do wielkiej, pełnej sali, więc mocno ścisłało mnie za gardło, zwłaszcza że przychodzili też profesorowie, a dwie wiekowe, zasłużone panie profesor siedziały na każdym wykładzie w pierwszym rzędzie i wszystko notowały. [widząc rozbawienie rozmówcy] A ile Pan ma lat?

Trochę mniej niż Pan wówczas... ale dobrze Pana rozumiem.

Więc stawałem tam w obliczu wielkich niepewności, widząc tak nabożne podejście uczonych i studentów do mojej młodzieńczej gadaniny, a co gorzej dwóch facetów na kilometr wyglądających na funkcjonariuszy KGB. Później się to skądinąd bezbłędnie potwierdziło. Mniejsza zresztą z tym.

Pewnego dnia, opowiadając o prozie Konwickiego, chcąc chyba wziąć pod włos studentów, albo im się podlizać, rzuciłem zdanie, że jego książki mogą służyć jako przewodniki po Wilnie, bo idąc z nimi w rękę można dokładnie odtworzyć trasy spacerów po Wilnie i Górze Zamkowej Wicia i Alinki z *Kroniki wypadków miłosnych*, że „ich” cukiernia nadal istnieje, a w Kolonii Wileńskiej to już w ogóle wszystko tak jak w *Dziurze w niebie*. Ja zresztą chyba tego

tak całkiem nie zmyśliłem, ale za kimś bezmyślnie powtórzyłem. Rezultat był taki, że następnego dnia przyszła do mnie deputacja studentów i spytała, co ja robię w sobotę i niedzielę. – Nic nie robię – odpowiedziałem – bo nikogo nie znam, więc pewnie będę laził po mieście. Na to oni, że to świetnie, bo oni mają propozycję, żebyśmy poszli tymi drogami, które się da na podstawie książek Konwickiego wytyczyć, a oni już się zajmują ustaleniem trasy. Ścierpłem, ale co było zrobić, słowo się rzekło. I tak zaczęliśmy w weekend chodzić po Wilnie i okolicach. Pamiętam, że *Kronika wypadków miłosnych*, *Dziura w niebie*, *Zwierzoczekoupiór* i chyba też *Sennik współczesny* albo *Rojsty* były w stałym użytku.

W Wilnie dosłownie schodziliśmy nogi, ale na szczęście z grubsza się zgadzało. Potem poszliśmy do Kolonii Wileńskiej, łąziliśmy w jakichś roztopach wzdłuż Wilejki. Pamiętam, że z wyjątkową zajadłością tropiliśmy miejsce, gdzie musiała rozegrać się scena miłosna między Aliną a Wiciem... Jeśli dziś nie zmyślam, to w ogóle plenerowe sceny erotyczne u Konwickiego są zawsze w podobnych *entourages*, więc faktycznie istnieje jakieś miejsce „źródłowe” i my na pewno tam byliśmy. W każdym razie niedawno. Wiele rzeczy zgadzało się prawie na sto procent, więc dzieci były szczęśliwe, ja też. Oczywiście nie wykluczam, że podświadomie „pomagaliśmy” Konwickiemu w tych wizjach lokalnych.

Oczywiście poszliśmy do Młyna Francuskiego, z którego zostały tylko fundamenty i spiętrzenie wody, pracownicy szukaliśmy Puskarni, ale nie byliśmy całkowicie pewni, czy to ten budynek, który „wytypowaliśmy”. Zgadzało się, ale jakby nie do końca. Ale proszę pamiętać, że od czasów dzieciństwa Konwickiego minęło tyle lat, że połowę domów można tam było przemurować lub przerobić na chlewnie. W każdym razie nie mogliśmy się nacieszyć tymi miejscami

i tą zabawą, jaką mieliśmy, porównując je z opisami książkowymi.

Przy okazji zdarzały się nam różne śmieszne sytuacje, bo na przykład trafiliśmy do domu jakiegoś chłopca, który zaproponował nam kwaśne mleko, a tu na ścianie wisi długi, brzydki, osmalony kołek. Więc pytam: – A co to jest? Po co to tak wisi? A gospodarz, zdumiony moją głupotą, odpowiada: – No jak to co?! kołek na wilkołaka. Naprawdę nie wiedziałem, że w drugiej połowie XX wieku ktoś może trzymać w domu kołek na wilkołaka! I to na reprezentacyjnym miejscu. Widząc moje zdumienie, chłopcy wyjaśnili: – No tak, a jak będzie trzeba, to gdzie będę latał, do stodoły? Ojciec go miał, dziad go miał, to i wisi! Świącony, jak należy!

On na pewno wielozadaniowy był, na inne stwory też przydatny.

Ja już wolałem więcej nie pytać, bo czułem, że robię z siebie półgłówka. Ale to było fajne, bo te sytuacje miały posmak takich światów jak z *Doliny Issy* Miłosza – z jednej strony w miastach elektryczność i telefon bez drutu, a na wsi jeszcze rządzi czarownik Masiulis i rytuał przebijania trupa dziewczyny w trumnie osinowym kołem.

Pamiętam też inną podobną sytuację. Następnego dnia, zmęczeni, spragnieni, dotarliśmy do jakiejś chałupiny ze studnią, ale mój wzrok padł najpierw na stojące koło wejścia miseczki z mlekiem. Oczywiście miałem większą ochotę na nie, niż na wodę ze studni, więc chcąc gospodynię naprowadzić na interesujący mnie temat, zagadnąłem: – To dla kotów, prawda? A ona ze zgorzaniem: – Dla skrzatów! Naprawdę, myślałem, że żartuje. A tu proszę, okazuje się, że skrzaty do dziś przychodzą pod jej dom i piją to mleko.

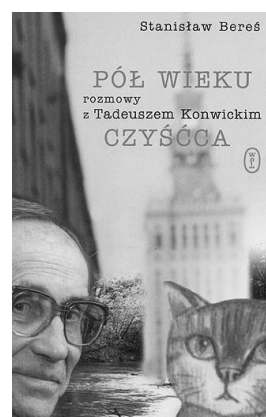
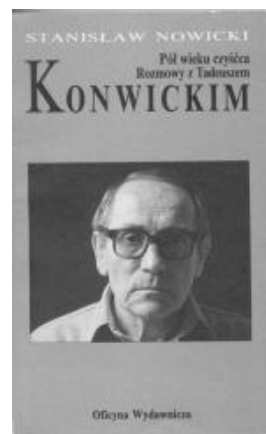
To jest materiał etnograficzny!

Też się poczułem jak odkrywca umarłych światów, choć całe dzieciństwo spędzałem

u dziadków w zabitej dechami wsi na Rzeszowszczyźnie, więc sporo wiem o mentalności ludowej. Byłem rozbawiony, ale i wzruszony, jakim cudem to jeszcze trwa, i to na zasadzie oczywistości. To czym to było w latach dzieciństwa Konwickiego czy Miłosza!? Ale mniejsza z tym. Ważne jest to, że studenci byli wniebowzięci, przejęte były też moje wileńskie przyjaciółki: Ludka Siekacka, która jest obecnie charyzmatyczną polonistką w szkole, ale wtedy pracowała w Instytucie Pedagogicznym, podobnie jak Basia Kaleda, późniejsza redaktorka „Gazety Wileńskiej” i żona rektora Algisa Kaledy. Te przyjaciółki zrodziły się w czasie tamtego wyjazdu i tego włóczenia się po Wilnie i okolicach. To było coś ciepłego i dobrego. Niestety Basia już nie żyje, nie mogę jej odżalować.

Ale wiem z Pana eseju, że były również jakieś cienie.

A i owszem, zdarzały się też nieprzyjemności. W Instytucie Pedagogicznym zorientowano się oczywiście, że ja gadam otwartym kodem o niezależnym obiegu w Polsce, więc zostałem wezwany przez dziekana Czczota, który przeprowadził ze mną rozmowę ostrzegawczą. On zresztą był w tym swoiście kumpelski, mieszał w zależności od potrzeby „pan” i „ty”, choć panowały między nami zimne oficjalne relacje: – No, Stanisław – mówił zaciągając – tak ja słyszę, że ciekawe te twoje wykłady. Ale tak mnie i mówią, że ty do studentów gadasz też o książkach, których nie ma w księgarniach. Niedobrze Stanisław, bo nie wiadomo jak długo będziesz to jeszcze opowiadał. I nagle ni z gruszki, ni z pietruszki: – A „Białej aist” pijesz? – i wyciąga butelkę koniaku „Białej bocian”. Pijemy więc i widzimy, że ta rozmowa robi się taka ni to ubecka, ni to kumpelska. W każdym razie niezbyt przyjemna, bo w końcu powiedział mi wprost, że jak nie przestanę uprawiać propagandy, to zajęcia





**Dom Blinstrubów w Kolonii
Wileńskiej na rogu
ul. Dolnej (gdzie był
sklepik Michałowskich,
baptystów) i ul. Kolejowej
(w przybudówce znajdował
się zakład fryzjerski)**

fot. Nina Taylor-Terlecka, 1998

zostaną zawieszona, a ja już nigdy więcej na Litwę nie przyjadę. To brzmiało dość groźnie, zwłaszcza że miałem jeszcze na sumieniu sprawę „dewastacji akademika Korpusas 3”, w którym mieszkałem. Chodziło o to, że szukałem w swoim pokoju aparatów podsłuchowych i wyrwałem ze ściany gniazdko od radiofonizacji wewnętrznej (wyglądało podejrzanie, bo znajdowało się na wysokości ok. dwóch metrów) oraz z rozpędu kratkę wentylacyjną, bo uroliłem sobie, że dobywa się z niej jakiś szum. Niestety nie dało się ich później przymocować „na ślinę” i zostałem obciążony karą finansową. Coś tam jednak było z tym podsłuchem na rzeczy, bo „dewastacja” została wykryta już dwie godziny po jej dokonaniu, choć klucz nosiłem cały czas przy sobie.

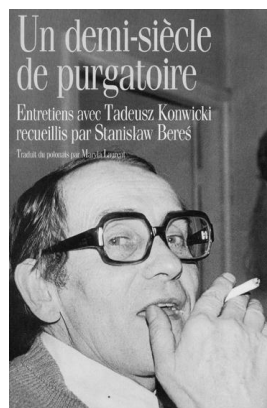
Tak więc dziekan miał na mnie aż dwa „haki”. Ale z ojcowską troską mówił: – Ty nie bądź durny Stanisław, czy ty myślisz, że my tu sami jesteśmy? Albo: – Jak ty siedzisz w bibliotece i czytasz te swoje papiery o Żagarach, to nie wiadomo, co ty czytasz? Albo: – Po co badziasz się ze studentami po Pavilnis? Albo: – Jakie kontrrewolucyjne kawałki opowiadasz doktorantce z Krasnojarska w bibliotece akademii? Jej ojciec, szef Raj-Komu w Tallinie, wszystko wie, a szczególnie to, gdzie chodzisz z nią na kolacje. To już było jawne ostrzeżenie przed KGB, zwłaszcza że ta „doktorantka” faktycznie ciągle się znajdowała gdzieś na moich drogach. Jak wychodziłem z archiwum na korytarz na papierosa, to ona też tam siedziała i paliła, jak szedłem na nocny spacer, to na placu Łukiskim natykałem się właśnie na nią, nawet autobus do Korpusasa też nam zawsze wypadał ten sam. Nawet do głowy mi nie przyszło, że to jest „agencja ucho”, więc wyciągała ze mnie, co tylko chciała, a ja jej opowiadałem, jak to wspaniale jest założyć KOR, SKS albo czytać podziemną prasę. Ona bez wątpienia składała rzetelne raporty z naszych spotkań, bo dziekan Czeczot po-

wtarzał dosłowne cytaty z naszych rozmów. Tak więc miałem trochę tematów do przemyślenia. Ale to już chyba nie ma żadnego związku z Konwickim, prócz tego, że wracając do kraju odczułem straszną potrzebę opowiedzenia mu o tym wszystkim.

I jak Pan to opowiedział, to co Tadeusz Konwicki na to?

To nie było takie proste, bo ja go wtedy przecież w ogóle nie znałem. Dzwonić nie było po co, bo na pewno by rzucił słuchawką, myśląc, że to jakiś ubek. Więc doszedłem do wniosku, że trzeba napisać list. Trochę to trwało zanim go z siebie wydusiłem. Dziś nawet trochę boję się sobie wyobrazić, co w nim napisałem. Na pewno był w mocno pensjonarskim stylu, bo opowiedziałem mu krótko, że grupce ludzi, kochających jego książki, tam w Wilnie i w Nowej Wilejce zdarzyło się niezwykle *rendez-vous* z utrwaloną przez niego światem. Pisałem do niego tak, jak pisze się do twórcy uwielbianego, ale zarazem budzącego głęboki respekt, bo szanowałem determinację, z jaką rzucił w twarz aparatczykom i ludziom pogodzoną z chlewem, jakim był PRL, wyrazy pogardy, złości i wstrętu, za co zapłacił odebraniem prawa do wydawania książek, kręcenia filmów, wymieceniem jego nazwiska ze wszystkich podręczników, słowników, encyklopedii i księgarni. Jak Pan pewnie pamięta, jego nazwisko skreślano nawet z przypisów w naukowych artykułach. I dlatego właśnie pragnąłem powiedzieć mu – samotnemu i zgorzkniałemu całkowitym odcięciem od czytelników (tak przynajmniej sądziłem) – że wcale nie jest sam, bo nadal jest czytany, a jego śladami chodzą fascynaci jego książek; nawet tam – w Wilnie.

Pisałem to wszystko z oporami i ze wstydem, bo tego typu wyznanie kolidowało z postawą chłodu, jaką próbowałem w sobie wyrobić jako młody adept nauki o literaturze. Na odpowiedź specjalnie nie liczyłem,



Przekład francuski: *Un demi-siècle de purgatoire*, przeł. Maryla Laurent, Paris 1993

bo podejrzewałem, że listy do Konwického są przesiewane przez bezpiekę w centralnym urzędzie pocztowym. Nawet miałem zamiar nie podawać adresu zwrotnego, ale doszedłem do wniosku, że pisarz pewnie takie listy od razu wrzuca do kosza jako produkty ubecji. Tymczasem Konwicky mnie zaskoczył, bo w ciągu kilku dni przyszła od niego kartka z paroma krótkimi zdaniami. Że dziękuję, iż nie uległem polonistycznemu purytanizmowi i opowiedziałem mu tę wileńską historię tropienia jego śladów, bo potrzebne mu są takie znaki ludzkiej obecności, a cała ta historia rodzi w nim poczucie, że „mignęło pomiędzy nami coś magicznego”. Dziś oczywiście sądzę, że podobne zdania pisał w swoim życiu różnym ludziom wielokrotnie, ale dla mnie wtedy, młodziutkiego asystenta polonistyki, te słowa były jak metafizyczny balsam – oto przeżyłem ze swoim ukochanym pisarzem „bliższe spotkanie trzeciego stopnia”. Nie byłem jednak na tyle naiwny, by szukać z nim kontaktu bliższego. Czuję, że nie należy. Poza tym dobrze wiedziałem, że łowiony na wędkę potrafi być wyjątkowo przykry. Pamiętałem to z telewizyjnej dyskusji na żywo, gdy z jadowitą precyzją ośmieszył rozmawiającego z nim Grzegorza Lasotę. Zdecydowanie kogoś takiego wołałem podziwiać na odległość.

I potem mijaly lata, potem były jego następne podziemne książki, a przede wszystkim ten parszywy stan wojenny, który wspominam jako coś wyjątkowo obrzydliwego. We Wrocławiu miał on zresztą dość gwałtowny przebieg, bo manifestacji było sporo, a ja na większość chodziłem, żeby sobie „powalczyć”.

A jak wyglądało życie uniwersyteckie w stanie wojennym? Oficjalnie wszystko było pozamykane.

Podczas stanu wojennego, pamiętam, że studentami siedzieliśmy na uczelni, a oni

– trochę się nudząc – prosili, żebym prowadził dla nich wykłady o tym, co lubię. – Nie ma zajęć, są odwołane, niech więc pan nam coś opowiada. Inni też zdaje się prowadzili w tym trybie zajęcia. Ale na pewno nie wszyscy. Wtedy zdarzało mi się myśleć trochę więcej o Konwickim, bo o nim chętnie opowiadałem, a ponieważ te narracje były bardziej gawędziarskie niż akademickie, więc to mnie jakoś zbliżało z nim duchowo.

Później strajki się skończyły, wszystko niby się „znormalizowało” i mijaly kolejne lata, które ciągnęły się jak wieczność: z telewizorów i radiodbiorników wylewała się gnojówka, w społeczeństwie gasła nadzieja na jakąkolwiek normalność, a spod podszewki życia wypełzały konformizm i ostentacyjna podłość. Nie lubię sobie nawet przypominać tego czasu gnicia, gdy coraz częściej myśleliśmy to, co wyraziła za nas Gretkowska, pisząc na murze w Krakowie: „emigruj albo strzelaj”. I właśnie wtedy Marysia Łukaszewicz, matka chrzestna mojej najstarszej córki, opowiedziała mi swój nawiedzony, patriotyczny sen. Oto ukazał jej się Marszałek Piłsudski i wskazując na nią palcem, zapytał oskarżycielsko: – A co ty, dziecko, robisz dla Polski? Oczywiście wyszydziłem ją bezlitośnie, ale kiedy w nocy zostałem sam ze sobą, powtórzyłem sobie to samo pytanie. Była to noc, gdy przygotowałem się do zajęć ze studentami, notabene z *Małej apokalipsy*. Wtedy właśnie uprzytomniłem sobie, że znam właściwie całą twórczość Konwického, i że – co więcej – czytałem na bieżąco artykuły i recenzje, jakie o nim napisano. I że to chodzenie jego tropami coś musi znaczyć, bo chyba nie przypadkiem piłem wodę z rzeki jego dzieciństwa, dotykałem traw w miejscu, gdzie mocował się z chłopakami z Kolonii Wileńskiej i przemierzałem ścieżki w Puszczy Rudnickiej, gdzie czterdzieści lat wcześniej kluczył ze swym oddziałem przed sowieckimi obławami. A jeśli tak jest, to nie mogę

powiedzieć, że mnie to nie dotyczy. Tym bardziej że – jak wówczas myślałem – może zdarzyć mu się jakiś tajemniczy wypadek, że np. przejedzie go ciężarówka, spadnie z klatki schodowej lub zaczadzi się od kuchenki gazowej. Ostatecznie wrogom reżimu takie wypadki się zdarzały statystycznie częściej niż zwykłym zjadaczom chleba. A wtedy intrygująca historia życia tego pisarza, którą obdzielał swoich bohaterów, nigdy nie zostanie opowiedziana. Bo wszystko to, co wie, pamięta i myśli, rozwieje się jak pył na wietrze. A stanie się tak tylko dlatego, że nikt tego nie zarejestrował, bo nikomu być może nie przyszło do głowy coś tak oczywistego.

Czyli w tym momencie dojrzała już w Panu decyzja zaproponowania spotkań?

Tego nie wiem na pewno, ale przyszło mi do głowy, że należy go zapytać, czy nad czymś pracuje, czy męczy się nad pustymi kartkami. Nie miałem wątpliwości, że nie jest to dla niego dobry czas. Wszystkich naokoło opuszczała wiara i nadzieja, w moim zaś środowisku rosła frustracja – ludzie łamali pióra, pograżali się w apatii, upadali na duchu. I wtedy pomyślałem, że Konwicki na pewno też nie może pracować, więc warto mu ofiarować kawałek życia, by utrwalić to, co powinno być utrwalone: historię jego życia, mówioną *summę* filozoficzną, wyznania na temat tego, w co wierzy, czego się boi, do czego dąży i czego dowiedział się w swoim burzliwym życiu o świecie i człowieku. Dobrze wiedziałem (po wcześniejszych rozmowach ze Stanisławem Lemem), że nagranie takiej spowiedzi, a potem jej spisanie z taśm i opracowanie będzie trwało długo, więc z góry zakładałem, że musi to być z mojej strony ofiara czysta i bezinteresowna, bo przecież nikt takiego materiału nigdy w Polsce nie wydrukuje.

Więc w końcu zadzwonił Pan do Warszawy...

Nie, napisałem! To był list z pytaniem, czy zechce ze mną porozmawiać przed magne-

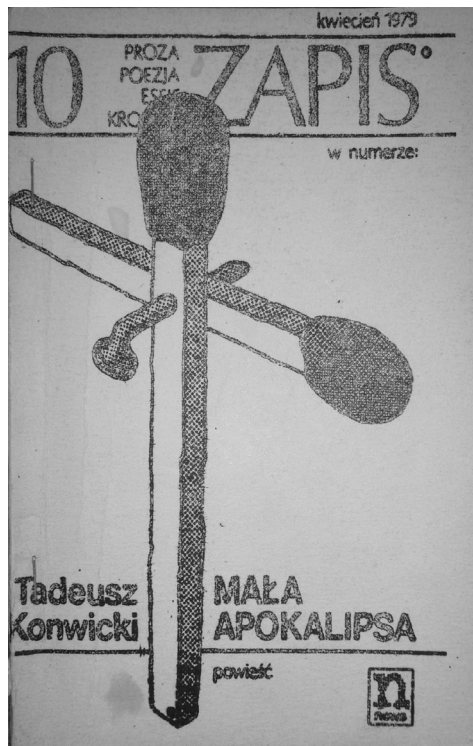


*Ulicą Subocz dyrdały, jak
nieustający grzmot, furgony
taborów wojskowych.
Bezpańskie psy biegły przed
końmi poszczekując zajadle.
Wicio znalazł bramę domu
oznaczonego numerem
siedem. Wszedł pod niskie
sklepienie ogarnął
go natychmiast odór
mydlin, uryny,
butwiejącego drzewa.*

(Kronika wypadków miłosnych)

fol. Nina Taylor-Terlecka, 1998

Pierwsze wydanie *Małej apokalipsy*,
Niezależna Oficyna
Wydawnicza 1979



tofonem (do dziś zresztą zdumiewam się swojej głupocie, z jaką obwieszczałem za pośrednictwem poczty swój zamysł bezpiece). Z jakiegoś powodu było dla mnie oczywiste, że tak się musi stać. Jakbym wcześniej zawarł z nim jakąś metafizyczną umowę. Była to kompletna dziecinada, do dziś nie wiem, na czym oparta, ale byłem jak nakręcony – absolutnie pewien, że już wkrótce będziemy rozmawiać o sprawach nieba i ziemi. Odpowiedź była natychmiastowa – przynosiła informację, że taką umowę – bez słów – istotnie przed sześcioma laty zawarliśmy. I że czeka.

Właśnie wtedy zamknął Pan rozmowy ze Stanisławem Lemem, był Pan bogatszy o to doświadczenie. Do Warszawy udawał się Pan dokładnie w czasie kiedy „Odra” zaczęła drukować odcinki tego pierwszego wywiadu.

Ale ja już o tym w ogóle nie myślałem. Wiedziałem, że to będzie całkiem inne doświadczenie i wszystko musi być inaczej niż w tamtych rozmowach. Z Lemem zbudowała nam się, trochę sama, relacja mistrz–uczeń, tutaj czułem, że o czymś takim w ogóle nie ma mowy. Tym razem nie miałem zamiaru być pokornym słuchaczem, z Konwickim chciałem się spierać, kłócić, pytać go o trudne rzeczy. Z Lemem się na to nie ważyłem. Może jeszcze byłem za młody? Może przyniatał mnie swoją wiedzą.

Chociaż Konwicki to też był mój... mistrz. *Małą apokalipsę* czytałem z prawdziwym dreszczem, to jedno z najsilniejszych przeżyć mojego życia. Ostatecznie to była książka z gatunku tych, za które ubecja mogła zabić. W tamtych latach wydać w podziemiu książkę, która podważała najświętszy aksjomat o wiecznej „przyjaźni” ze Związkiem Sowieckim, wymagało największej odwagi. Poza tym ukazanie opozycji jako odprysku komunistycznego reżimu, z całym dziedzictwem skrzywień i nieprawości też było aktem desperacji. To była już znana

sprawa, że drukarze NOW-ej nie chcieli mu tej książki drukować. Za tę determinację go bardzo szanowałem i podziwiałem.

Pan zakładał, że Konwicki nie może pisać, tymczasem był to dla niego okres bardzo pracowity. Pisał już *Nowy Świat i okolice*, nastrajał się na *Bohiń*, projektował sfilmowanie *Dziadów*, udzielał wywiadu Andrzejowi Titkowowi. Mimo to odpowiedział Panu od razu.

Ja tego wszystkiego nie wiedziałem. O Titkowie mi sam powiedział i zaproponował, żeby wykorzystać jakieś fragmenty tego, co mówił do filmu w naszej książce. Reżyser nie miał nic przeciwko temu, był szalenie otwarty, więc tak się stało, choć trochę później. Bo zaznaczam: najpierw cały czas trwaliśmy twardo na stanowisku, że mówimy do archiwum.

Ile czasu zajęło Panu przygotowanie się do nagrań?

W mojej pamięci jest tak, że to wszystko działało się bardzo szybko.

Co to znaczy „bardzo szybko”? Miesiąc, dwa?

Od momentu jak się zgodził? Może dwa.

To rzeczywiście bardzo szybko, jeśli idzie o ten ogrom literatury, która powstała na temat Konwickiego.

No tak, ale ja już wcześniej znalazłem wszystkie książki i niemało wywiadów, recenzji i opracowań. Zresztą opracowań nie było znowu wcale tak wiele.

Faktycznie, przecież właśnie dopiero w roku nagrywania tych rozmów drukowano dysertację Tadeusza Lubelskiego i, jako artykuł, niezmiernie cenny rozdział monografii Anny Nasalskiej. Do tego czasu twórczość Konwickiego rzeczywiście była raczej słabo opracowana naukowo, przynajmniej jeśli chodzi o materiały publikowane.

Dzięki temu mogłem działać niemalże natychmiast. Trochę posiedziałem we wro-

clawskim Ossolineum, pewnie nie wychodziłem przez parę tygodni, sprawdzałem, czytałem, a przede wszystkim spisywałem, bo przecież nie było jeszcze ogólnie dostępnych kserografów – i byłem gotów. Może mi się w pamięci coś ścieśnia, ale wydaje mi się, że to był miesiąc, dwa, na pewno niewiele więcej. A może nawet mniej?

Choć ja się do takich rozmów przygotowuję dość forsownie – mniej więcej tak jak do napisania monografii. Nikt tak nie robi, więc trochę się właściwie nawet tego powinienem wstydzić, bo z tego wynika, że jestem jakiś tępy... ale prawda jest taka, że jak się bardzo dobrze papierami napasę, trochę tak jak krowa trawą, to wtedy się lepiej czuję i nie krępuję się swojemu rozmówcy patrzeć w oczy. A tu dotyczyło to człowieka, którego bardzo szanowałem.

Pierwszą rozmowę zaczął Pan od dzieciństwa, tak jak zostało w książce?

Tak, najpierw rozmawialiśmy o dzieciństwie, bo ja wierzę w to, że z jaja można wydedukować wszystko. Liczyłem na to, że to go dobrze nastroi, bo każdy lubi wspominać młode lata. Ale też od początku miałem jasną świadomość, że kluczem biograficznym mogę „jechać” tylko do momentu, kiedy Konwicki zadebiutował. Po debiucie pisarz z miejsca zaczyna być pisarzem zawodowym i jego życie staje się historią kolejnych książek. Chyba że się podróżuje, tak jak Kapuściński...

Jedyne, co u Konwickiego mogło dyktować powrót do życiowej chronologii, to była działalność opozycyjna. Ja wiedziałem oczywiście, że on był w jakichś podziemnych redakcjach, ale nie chciał o tym rozmawiać. Gdy go o to pytałem, odpowiadał zniecierpliwiony: – Tu nic nie ma do gadania.

Może się bał o ludzi?

Tak, wiem, bał się o członków redakcji. Dziś naturalnie wiem, że należało cisnąć i była

szansa na to, żeby różne rzeczy wyciągnąć, ale widać się nie dało.

To był na pewno pasjonujący temat. Przecież Konwicki zasiadał też w jury nagród dla pisarzy opozycyjnych.

To dziś wiem, że były jeszcze tematy, które można było próbować poruszyć. Wówczas mi się jednak wydawało, że to, co się dało, jest już zrobione. Ale proszę też pamiętać, że Konwicki to człowiek, który dość dobrze wie, czego chce, a czego nie. On czasem się poddawał, ale w pewnym momencie naciskał zdecydowanie na hamulec: – Już dość, panie Stanisławie (do samego końca rozmów byliśmy na „pan”), więcej o tym nie będziemy gadali, niech pan rzuci coś nowego, bo mnie pan już nudzi. On zresztą często stosował takie metody, że jak temat był mu niewygodny, to mówił: – A po co o tym opowiadać, przecież ja to wszystko już dziesięć razy powiedziałem. To był wyraźny sygnał, że o czymś nie chce rozmawiać. Tak między ludźmi kulturalnymi komunikuje się odmowę.

A zdarzało się, żeby Panu pomagał lub podpowiadał?

Może trochę, choć nie za bardzo. Kiedyś nawet, chcąc sprawdzić, na ile jest gotów przejąć pałeczkę, zadałem mu pytanie: – A o co pan chciałby, żebym teraz zapytał?, Konwicki z miejsca się wycofał. – Nie – odpowiedział – to jest pańska rozmowa! Jasno i dobitnie. A mnie nieraz ciekawiło, co mu tam po głowie chodzi, bo widziałem, że ma coś na języku, że chce. – No to wyrzuć to z siebie, człowieku, a ja do tego później dodam pytanie. Czemu nie? Ale jego to nie interesowało, on nie chciał być kierowcą.

Za to z Lemem często miałem wrażenie, że używa mnie jako narzędzia. Ja wiedziałem oczywiście, o co chcę go zapytać, miałem przygotowanych setki pytań, ale on miał swoją strategię i świadomie ją realizował. Ja zresztą uważałem, że to jest uczciwe.

Wielki pisarz – rozumowałem – sfrustrowany stanem wojennym, nie może pisać lub brak mu weny, więc dobrze jest, gdy zjawi się ktoś, kto będzie go słuchał, rozumnie pytał, a co najważniejsze nagra, spisze i opracuje. Uważam, że taki prezent od losu należy się wybitnemu człowiekowi. I tak samo traktowałem Konwickiego, uważając, że to jest słuszna ofiara historia literatury dla pisarza, którego podziwiał i cenił. To było podziękowanie za książki, które ja i moje pokolenie czytaliśmy po nocach, pochłaniając je z wypiekami na twarzach.

A jak w ogóle wyglądały te rozmowy? Jaka była ich dynamika i dramaturgia?

To były przyjazdy i odjazdy. Rozmowy krótkie i długie, rano i wieczorem, czasem sami, a czasem w asyście kota Iwana, w kłębach tytoniowego dymu albo przy herbacie, czasem ciepłe i rozlewne, ale niekiedy gwałtowne i dramatyczne. Były rozmowy czułe i szczerze aż do bólu, gdy nie włączaliśmy światła, by podtrzymać intymny nastrój, ale były i takie, gdy musiałem pytać o rzeczy przykre, i wtedy widziałem palce Tadeusza zaciskające się na masywnej szklanej popielnicy – i dość było spojrzeć mu w oczy, by zrozumieć, że lada moment palnie mnie nią w głowę. Z czasem zrozumiałem, że część z tych awantur jest w istocie komedią, odgrywaną dla podniesienia poziomu adrenaliny i podbicia dramaturgii dyskusji (ostatecznie rozmawiałem z reżyserem filmowym), ale część z nich była autentyczna i wtedy już tylko słowo dzieliło mnie od wyładowania na klatce schodowej. Były też wyznania z głębi serca i duszy, które okazywały się podstępny wpuszczeniem mnie w maliny lub szyderczym sondowaniem mojej łatwowości, ale były i akty ostentacyjnej bufonady, które w istocie ukrywały bolesne i wstydlive wyznania. Nie da się tego wszystkiego opowiedzieć, to po prostu trze-

ba przeczytać. Nigdy w życiu już nie będę miał tak skomplikowanego i kapryśnego rozmówcy, ale nigdy więcej już nie spotkam tak lojalnego i bezinteresownego – jak się na końcu okazało – partnera.

Czy mogę zapytać o różnice między obydwo- ma rozmówcami: Stanisławem Lemem i Tade- uszem Konwickim?

Najważniejszą i podstawową różnicą było to, że Lem przemawiał, a Konwicki rozmawiał. Lem mówił trochę jak profeta, a trochę jak uczony na wykładach. Nie było wielkich możliwości partnerskiego dialogu, bo nie miałem tak szerokiej wiedzy jak on, a poza tym on sobie sam ze sobą ustalił, że będzie do mnie mówił jak do inteligentnego magnetofonu, który się czasem odzywa i przeszkadza. Kiedy więc za bardzo mu się „wcinałem” i zadawałem pytania, które przeszkadzały mu monologować, wyciągał z ucha aparat słuchowy i kładł przede mną na stole. Komunikat był absolutnie czytelny. Z tym, że ja aż tak bardzo cierpliwy nie jestem, więc kiedy on za długo – moim zdaniem – monologował, podsuwałem mu pytania na karteczkach. On wtedy układał je sobie w szereg i mówiąc przesuwał palcem raz w prawo, raz w lewo. Odpowiadał na nie dopiero wtedy, gdy uznał za stosowne. Z tego systemu „rozmowy” łatwo Pan odgadnie, co musiałem robić w fazie redakcyjnej: te tasiemcowe monologi trzeba było ciąć na mniejsze jednostki i układać do nich pytania.

Ale nie chciałbym się uskarżać, bo Lem mnie w sumie bardzo łaskawie traktował i był miły. Partnerskiej dyskusji specjalnie nie miałem jak z nim prowadzić, bo choć byłem bardzo dobrze obkuty z jego twórczości, to jednak o niej samej nie dało się gadać, a w tematach przyrodniczych różnica wiedzy pomiędzy nami była dość znaczna. Inna rzecz, że dyskusowanie z Lemem to naprawdę duże wyzwanie. Istnieją dwa symptomatyczne zapisy dyskusji uczonych z Lemem:

profesorów Instytutu Badań Literackich PAN, które były drukowane w 1971 roku w „Pamiętniku Literackim” oraz wcześniejsze – najwybitniejszych polskich filozofów, publikowane w 1965 roku w „Studiach Filozoficznych”. Lem dyskutował z nimi jak absolutnie równorzędny partner, momentami nawet przeważał. To samo zresztą zdarzyło się na Freie Universität w Berlinie, gdzie Niemcy postawili przeciw niemu międzynarodową ekipę uczonych różnych specjalności, głównie z nauk ścisłych, żeby sobie podyskutowali. I znów okazało się to samo: Lem był w stanie debatować z całymi instytutami naukowymi. Więc ja się specjalnie nie łudziłem, co do szans na spory z nim, ale przynajmniej, kiedy mogłem, konstruowałem na niego pułapki. Wiedziałem, że na prosty „numer” go nie złapię, więc budowałem pułapki kilkupoziomowe z „rygłem” na końcu. Zawsze sobie poradził. Kiedy wydawało się, że jest już „pod ścianą”, robił rodzaj naukowego salto mortale i przenosił cały problem o piętro albo o dwa wyżej i pokazywał rzekomą sprzeczność z perspektywy szerszej wiedzy albo w ogóle innej dyscypliny, udowadniając, że to, co wydawało mi się sprzecznością, jest szczególnym przypadkiem jakiegoś wyższego prawa albo bardziej skomplikowanego konstruktu myślowego. Robił to bardzo dobrze. Najzabawniejsze jednak, że wszystkie te miejsca, gdy był przyciskany, po prostu później powycinał... [śmiech]

W autoryzacji?

Tak, w autoryzacji. Kiedy zaczynała się np. dziesięciostronicowa sekwencja pułapki, to Lem nie zachowywał całego zapisu dyskusji, ale zostawiał tylko moje pierwsze pytanie i swoją ostateczną odpowiedź. Całego – niezwykle pasjonującego intelektualnie – procesu dochodzenia do niej w książce już nie było. Z tym, że on miał prawo to zrobić, bo to faktycznie była jego odpowiedź, i to taka, która wszystko wyjaśniała. Zapis jednak



**Jest u nas taka dolina.
Zbieramy tam zawsze
orzechy leszczynowe. Nie,
to nie dolina. Raczej zbocze
obłe, pochylony ogród leśny.
Widać stamtąd czerwony jar
i zieloną pianę olszyn nad
rzeką oraz białe mury starej
papierni jak umarła dłoń.
Pięknie – aż boli.**

(Dziura w niebie)

**– Polek ostatniej nocy nie
wykonał mego rozkazu.**

**Jakie to ja wydałem wtedy
polecenie?**

– Żeby ci rozwiązać ręce

**– odpowiedział szybko
Kaziuk.**

**– O, właśnie. Polek musi być
ukarany. Co proponujecie?**

**– Niech poleci do kościoła
i z powrotem.**

**– Nurkiem niech przepłynie
Jaskulę.**

**– Niech przyniesie kwiaty
w nocy z podjelniackiego
cmentarza.**

**Pacia weszła w krąg
siedzących.**

**– Ja mam coś dla Polka.
Widzicie to urwisko pod
nami. Niech Polek wdrapie się
z dołu do nas.**

(Dziura w niebie)

fot. Nina Taylor-Terlecka, 1998

tego, że był zmuszany do wysiłku i akrobacji, był dla Lema widać tak nieprzyjemny, że go likwidował.

Z Konwickim pod tym względem było zupełnie inaczej. Uważnie słuchał, o co pytał, żywo reagował na każdą kwestię i nawet jak coś go nudziło albo nie bawiło (na ogół były to kwestie związane z jego akcesem do socrealizmu i wstąpieniem do partii), odpowiadał i nie uważał tego za stratę czasu. To jest znakomity rozmówca – ma jasne sądy i odwagę ich wygłaszania, nawet gdy są niepopularne, ma świetne wyczucie dramaturgii, poczucie humoru, dużą empatię, a szczywany jest jak lis. Jego popisowy numer to robienie rozmówcy wody z mózgu i głoszenie poglądów, które mogą być równie dobrze prawdą, jak i nieprawdą. Do dziś mam podejrzenie, że nieraz dla „sportu” albo z czystej przekory z kamienną twarzą udowadnia rzeczy, które sobie akurat w danym momencie wymyślił, bo się znudził rozmówcą lub samym sobą. Ponieważ potrafił wszystko postawić na głowie, podchody z nim były czystą przyjemnością. Często był kompletnie nieprzewidywalny. Obawiam się, że czasem również dla siebie.

Ale przy tym wszystkim jest to pisarz absolutnie lojalny i książęco niedbały o swój wizerunek. Przy autoryzacji nie kreślił niczego. Zostawiał nawet wtedy, gdy rozgrywka była na jego niekorzyść. Nigdy nie zrobił sobie żadnego liftingu. Nie znosił tylko tego, kiedy w tekście przedstawionym mu do autoryzacji widniał np. prof. Nietzsche zamiast prof. Nitsch. Przez następnych dwadzieścia lat za każde z tych wykroczeń jechał po mnie jak po lysej kobyle.

Jeśli chodzi o te podchody, to rzeczywiście w Pół wieku czyścica widać ich bardzo wiele i wielu można się domyśleć, niemniej są i otwarte wymiany.

Gdyby Konwicki, podobnie jak Lem, wybrał postawę „olimpijską”, miałbym zadanie

utrudnione, ale on jest człowiekiem tak pełnym temperamentu i wigoru, że daje się go zaczepiać i prowokować. Ale jednocześnie wiedziałem, że jest jakaś nieprzekraczalna granica, której przekroczyć mi nie wolno. Ja wyraźnie czułem, że on może mnie w złości wywalić z domu! Nawet Lem potrafił to zrobić (choć na szczęście mnie się to nie przydarzyło). I w tych momentach, kiedy była mowa o *Rojstach* czułem, że jestem tego blisko. Był nawet taki moment – o tym już chyba wspomniałem – kiedy trzymał w ręku popielnicę. Czułem, że zaraz mnie nią palnie. Leżała między nami na stole, bo my wtedy jeszcze obaj paliliśmy jak smoki, w każdym razie ja paliłem na pewno. Było nadymione jak w wędzarni. To jest dość impulsywny facet, więc jak zobaczyłem, że mu palce bieleją na tej popielnicy, to struchlałem, bo była spora, ale jednocześnie miałem poczucie, że za mną stoi... No właśnie, co? Prawo historii literatury? Chyba coś takiego. Wiedziałem, że muszę pytać o nieprzyjemne rzeczy. Będzie za chwilę przykro? Trudno, trzeba pytać.

Muszę tutaj dodać, że po rozmowach z Lemem zostałem z przykrym uczuciem, że za mało go dusiłem. Nie chodzi o kwestie naukowe, bo w tych nie miałem szans, ale nie umiałem go przycisnąć o sprawy wojenne oraz publikacje w latach stalinowskich. A było ich niemało. Dziś uważam, że i tak nie dałoby się tego zrobić, ale kiedy rozmawiałem z Konwickim, było we mnie świeże poczucie grzechu zaniechania, więc nie zamierzałem tego powtórzyć. Wiedziałem, jak się będę czuł, jeśli nie podejmę walki. To dodawało mi sił.

Rozmawiając z Lemem należało było wziąć ze sobą jego socrealistyczne teksty, miałem je ostatecznie wszystkie skserowane, położyć przed nim na stole i pytać: – Proszę, tu, w tym artykule, jest pan piewcą atomowego przemysłu sowieckiego, a tu pogromcą imperializmu amerykańskiego, choć jed-

ni i drudzy budowali to samo. Kto kazał to panu napisać? A tutaj zachwyca się pan Łysenką i jego teorią, zaprzeczającą prawu dziedziczności, a przecież wiedział pan, że to są brednie. Dlaczego więc pan to napisał? Albo: – Wychwała pan tu w „Nowej Kulturze” budowę kanałów w Sowietach, a przecież wiedział pan, że zginęły tam dziesiątki tysięcy więźniów, w tym Polaków. Jak panu to mogło przejść przez pióro? No, na pewno byłoby strasznie nieprzyjemnie! Byłaby wściekłość, może by mnie nawet wyrzucił, bo był straszny raptus. Mogło mi się coś takiego przytrafić, ale tego nie wiem, bo nawet nie spróbowałem. Jadąc do Konwického wiedziałem, że tym razem to się nie powtórzy.

O, i faktycznie – tu Pan „spróbował”.

Miałem oczywiście świadomość, że siadam gołym tyłkiem na jeża. Ale jakie było inne wyjście? Tadeusz ryczał na mnie, krzyczał, był obrażony, więc spodziewałem się, że lada moment wylecę za drzwi. Z jednej strony było mi strasznie żal, że to się tak niefajnie skończy, a książkę szlag trafi, ale z drugiej nie mogłem odpuścić. W końcu się jednak wycofałem.

Z drugiej strony Rozmówca czasami markował gniew – „reżyserując”. Pada to nawet w tym wywiadzie.

Wie Pan, ja znam Tadeusza już kupę lat, więc dziś z grubsza wiem, kiedy on jest naprawdę poirytowany lub wściekły, a kiedy się wygłupia i robi teatr. Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem, więc dla mnie każdy jego wybuch był „naprawdę”. Proszę pamiętać, że ja byłem przed nim „na baczność”. On zaś chyba był z tego zadowolony, bo gdyby chciał, mógł naszą relację zmienić w każdej chwili i powiedzieć: – Panie Stanisławie, strzelmy sobie kielicha i przejdźmy na „ty”, będzie nam łatwiej. Ale nigdy nie było takiej sytuacji. Pomiedzy nami cały czas panowała pewna oficjalność i ceremonialność.



Podeszli do drewnianej stacyjki, prymitywnej jak altana. Tylko izdebka za-wiadowcy i kasjera w jednej osobie posiadała cztery ścia-ny. Poczekalnia była otwarta, gęsty zmrok wieczorny słabo rozświetlała mała, odrutowana żarówka pod spadzistym dachem. Usiedli na drewnianej ławce pociętej scyzorykami. Przed nimi był peron i chrabąszcze brodzące wśród żwiru; za lśniącymi szynami stały domy skryte wśród bżów.

(Dziura w niebie)

fot. Nina Taylor-Terlecka, 1998

Kiedy więc już – w ich ramach – sobie na mnie pokrzyczał, a potem chciał ocieplić tę lodowatą atmosferę, która się wytworzyła po eksplozji, zachowywał się tak, jakby to nie była wcale złość, tylko taki trochę występ sceniczny, teatralizacja złości. Twierdził, że to jest jego technika podnoszenia sobie poziomu adrenaliny, co rzekomo pomaga mu mówić. Wcale nie jestem pewien, czy to prawda, ale takie wyjaśnienia na pewno pomagały w momentach konfliktowych. To była jego strategia koncyliacyjna.

Jakieś dwa lata temu spędziliśmy z Tadeuszem parę dni we Francji na Dniach Polskich w Die, a potem w Lyonie. To wszystko było bardzo sympatyczne, pozbawione złych emocji, bo bardzo nas honorowano, a Konwickiego szczególnie. Była tam kupa pisarzy – polskich i francuskich – raczono nas winem, serami i czym tylko popadnie, a od czasu do czasu trzeba było coś mówić do publiczności. I były tam takie momenty – opowiadałem o tym kiedyś Katarzynie Janowskiej – kiedy Konwicki nagle dochodził do wniosku, że trzeba opuścić salę i gdzieś tam iść. Bo tak sobie to wymyślił. Więc mną komenderował: – Stasiu, wychodzimy! A ja na to: – Ale po co? Do odjazdu autobusu jeszcze dwie godziny, parking na sąsiedniej ulicy, nie ma potrzeby stać pod chmurą (faktycznie padało), poza tym mam jeszcze do pogadania z tą panią. No i siedzę dalej, piję wino i gadam. Na to Tadeusz nagle wybuchł: – Jak by w czasie okupacji człowiek tak siedział – ryczy nagle z furią na całą salę, aż wszyscy się odwracają – to by nas wystrzelali do nogi!! Najlepiej nic nie robić, tylko siedzieć! Już nie pamiętam, jak się skończył ten zgrzyt publiczny, ale pewnie wyszliśmy i sterczeliliśmy na dworze. No i proszę powiedzieć, czy to była teatralizacja, czy wściekłość autentyczna? Jeremiada niecierpliwości czy nagły wybuch emocji? Konwicki to zagrał czy faktycznie dostał amoku, poruszony jakimś partyzanckim wspomnie-

niem? Może jedno, może drugie. A może jedno i drugie równocześnie? Nie wiadomo. Więc chcę powiedzieć, że w trakcie naszych rozmów do książki nie miałem tym bardziej żadnego narzędzia rozpoznania stanu emocji pisarza. Jak na mnie krzyczał i zamierzał się na mnie popielnicą, to dla mnie to było naprawdę.

Ale wydaje mi się, że podczas wywiadu Tadeusz Konwicki czasami też wykonywał pojedyncze gesty, kierował do Pana nawet coś w rodzaju przeprosin, a przynajmniej załagodneń.

Pewnie takie momenty były, bo inaczej byśmy nigdy nie wyszli z tego rozindyczenia, w jakie wpadaliśmy przy kwestiach politycznych. Tadeusz ma jednak taką piękną cechę, że jak się wścieknie, to krzyczy, ale jak mu już przejdzie, to się nie dąsa. Jemu dawało się wytłumaczyć, dlaczego trzeba było dotknąć bolesnej kwestii, i on to traktował serio. W każdym razie był empatyczny. Natomiast są pisarze, którzy słuchają tylko siebie.

Tadeusz, kiedy już wywalił we mnie swoją artylerię, uspokajał się. Ale proszę pamiętać, że w książce są tylko słowa, a w momentach napięć działały na mnie również: poziom głosu, groźna mimika, gwałtowna gestykulacja, machanie mi rękami przed nosem, zrywanie się z miejsca, krążenie jak tygrys po pokoju. A przede wszystkim ten sugestywny, powalający na kolana, zdarty, chrapliwy, ekspresyjny głos. To wszystko było przejmujące, na granicy psychodramy. Trochę to – nie ukrywam – przeżywałem. Ale bardzo pomagało mi to, że po wybuchach Tadeusz się nie zaciął, tylko okazywał uczucia ludzkie – a to poszedł zrobić dla nas obu herbatę, a to podsunął papierosa. Choć nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek ekskuzował, żadnych przeprosin nigdy nie było. Zresztą chyba z obu stron.

Siłą rzeczy pewnie się podczas tych rozmów zbliżaliście?

Bez wątplenia w tych rozmowach rodziła się nasza bliskość, bo obaj o sobie dowiadujemy się w końcu sporo, ale w tamtych latach nigdy nie pozwoliliśmy sobie na gesty poufałości. Nawet po imieniu, jak już Panu powiedziałem, zaczęliśmy do siebie mówić dopiero po wielu latach. Wtedy gdy prowadziliśmy rozmowy, pomiędzy nami stał magnetofon, który uświadamiał, że to jest gra na serio, w której słowa ważą swoje i mogą być trudne do cofnięcia, a konfesyjne uniesienia lub komplementy są być może tylko pułapką. I nie była to wymyślona nieufność, bo obaj stosowaliśmy podchody i odgrywaliśmy czasem nawet fałszywe role. Traktowaliśmy siebie w końcu jak profesjonalistów, którzy spotkali się na drodze dla wspólnego przedsięwzięcia, ale mają odmiennie cele, więc wspólnej pracy nie należy obciążać niepotrzebnymi sentymentami, bo być może już za chwilę trzeba będzie włożyć sobie palec w bolączkę.

Powraca kwestia celu rozmów, a zatem także odbiorcy. A zatem także problem ukrycia bądź upowszechnienia zapisu. Nie jest dla mnie całkiem jasne, co chciał Pan na samym początku zrobić z tymi taśmami?

W mojej wyobraźni, Panie Przemku, było tak, że to, co jest na taśmach, zostanie przeze mnie rzucone na papier i złożone w dwóch egzemplarzach w teczkach – jedna w domu, druga w Bibliotece Instytutu Filologii Polskiej we Wrocławiu, gdzie leżały zwały druków niezależnych i nikt się nigdy do nich nie dokopał, żadna ubecja. Więc jakbym upchnął taką teczkę, to nawet bibliotekarz by jej nie znalazł. Chciałem więc, żeby gdzieś tam sobie leżała, i jak się coś złego stanie, np. zachoruję lub umrę, albo jak się czasy zmieniają, to ktoś z naszych bibliotekarzy – a wszyscy to byli w końcu dobrzy kumple – wyciągnie tę teczkę i przekaże jakiemuś wydawcy. Albo uczonemu. No, w każdym razie, że nie przepadnie. Tak było

w mojej głowie. A jak było w głowie Konwickiego, to ja już nie wiem.

Nie umiałem sobie jakoś wtedy – co skądinąd śmieszne – wyobrazić, by z takich rozmów mogła powstać książka, choć jedną rozmowę-rzekę już miałem na koncie. Może dlatego, że nie wierzyłem wtedy w nic innego niż w galopującą sowietyzację państwa i totalną degrengoladę społeczeństwa. Dlatego właśnie wyobrażałem sobie, że owoc tej pracy zostanie zamknięty na całe dziesięciolecie na klucz w naukowej bibliotece, gdzie przetrwa złe czasy. A może nawet i nas.

To wszystko jednak nie zmienia faktu, że chociaż umówiliśmy się z Tadeuszem, iż rozmawiamy w celach wyłącznie archiwalnych, już od pierwszych spotkań czuliśmy, że w trakcie tych dyskusji, które czasem były jak partie szachów, a czasem jak elektryczne wyładowania, rodzi się po prostu kolejna rozmowa-rzeka. Samo stwierdzenie, że z tego można zrobić książkę, padło ze strony Tadeusza. Ale generalnie było między nami jakieś niedogadanie, wynikające chyba z oczekiwania na zachętę lub aprobatę partnera. Ich natomiast być nie mogło, bo to oznaczałoby przewartościowanie tego bezinteresownego przecież, wykonanego tylko *con amore*, przedsięwzięcia.

I tak taśmy trochę leżały. Trzeba też chyba powiedzieć, że po nagraniu wszystkiego nastąpiła faza, którą Niemcy nazywają *Dampfauslassen*, czyli wypuszczaniem pary. Może się zmęczyliśmy? A może czekaliśmy na jakiś znak z nieba? Nie wiem.

To co ostatecznie zdecydowało, że rozmowy zostały zredagowane i wydane?

[śmiech] No przyszedł ten znak z nieba. W postaci wyjątkowo przykrego alarmu. Otóż pewnego dnia, podczas mojej nieobecności, do wynajmowanego przeze mnie pokoju na poddaszu wdarła się tajna policja i na oczach gospodyni przewróciła wszystko do góry nogami. Przegląda-

li wszystko – książka po książce, kartka po kartce. Wszystkie kasety z rozmów z Konwickim stały na półce, nawet nie w pudełku, ale rozsypane luzem. Sprawdzili każdą po kolei, wkładając je w magnetofon i odsłuchując początki obu stron. Na szczęście każda z nich na początku i końcu miała nagrane po parę minut muzyki poważnej. Prosty, wręcz idiotyczny patent...

Jak się okazało skuteczny.

Kiedy po tygodniu lub dwóch ukrywania się po domach przyjaciół, gdzie oczywiście można mnie było znaleźć bez żadnego wysiłku, gdyby SB nie była tak leniwa, wróciłem do domu i spojrzałem na półkę z kasetami, dotarło do mnie, jak blisko byłem ich utraty. Wręcz zmartwiałem ze zgrozy nad własną głupotą. Jeszcze tego samego dnia zacząłem przenosić słowa z taśm na papier. Z poczuciem, że w tym zdarzeniu jest palec Losu, że kolejny raz zdarzyło się coś magicznego. Że ktoś albo coś chce, żeby ta książka powstała.

Muszę tu jednak dopytać jeszcze, co się stało, że sami Panowie zechcieli książki (a nie teczki z maszynopisem w archiwum)? O owo stwierdzenie podczas spotkań, że powstaje wywiad do publikacji. Czy miało to wpływ na kształt rozmów?

Tego momentu, gdy padło między nami, że to będzie jednak książka, nie potrafię umiejscowić w czasie. To było gdzieś wtedy, gdy odpuściłem sprawy biograficzne i zaczęliśmy gadać o problemach powieściowych. Odtąd rozmawialiśmy już z większą dyscypliną, bardzo pilnując, by budować wyraziste linie tematyczne – przyszłe rozdziały. Od tej chwili już bardziej to wszystko reżyserowałem, i on bardziej reżyserował. W każdym razie rozmawialiśmy już jakoś inaczej. Ale chyba udawaliśmy, że nic się nie zmieniło. Wcześniej mniej dbałem o porządek, traktując naszą rozmowę jak rodzaj wielkie-

go worka, z którego później wszystko wyjmę i spiszę – a jak wyjdzie, tak wyjdzie. Jakoś to beeee! – mówiłem sobie. W końcu robię to dla potomności, nie dla siebie, więc niech się koń martwi, bo ma większą głowę. Historyk literatury, który będzie to czytał za trzydzieści lat, jakoś sobie z tym poradzi. To było takie myślenie. Trochę się go dziś wstydzę.

No, ale skoro padło, że z tego ma powstać książka, to zmieniało postać rzeczy, trzeba było wziąć się w garść i zacząć gadać mniej impresywnie. Wcześniej pilnowałem tylko, żeby ta rzeka słów płynęła w określonym kierunku, i żeby sobie nie dać wciskać za dużo kitu, a od tego momentu już zacząłem wykonywać – jak by to opowiedzieć – świadome roboty melioracyjne.

Czy współautor książki był zadowolony ze sposobu, w jaki opracował Pan tekst?

Uczciwie mówiąc, sądzę, że Tadeusz nie był zadowolony z redakcji rozmów. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy wprost, ale ja to wyraźnie czułem. Nie miałem zamiaru z niczego mu się tłumaczyć, bo uważam, że spisałem i opracowałem je po Bożemu, nie zmieniając mu żadnej myśli, ale on chyba uważa, że ja sobie porobiłem liftingi, a jemu osłabiłem. To może być tylko moje podejrzenie, ale ja to czułem „w powietrzu” i w pólśłówkach.

Ten problem trudno wytłumaczyć komuś, kto nigdy nie wykonywał takiej roboty redakcyjnej, bo rzecz nie jest prosta ani jednoznaczna. Otóż spisując rozmowę słowo w słowo, uzyskujemy kompletny bełkot, zupełny amorfizm. Więc to trzeba niejako napisać na nowo, stylizując język „pisany” na język „mówiony”. W tym procesie strasznie ważne jest to, aby nie zmienić sensu wypowiedzi swojego rozmówcy. Ale wątki się przenosi, myśli się ze sobą łączy z różnych (nieraz odległych) miejsc, długie monologi się przecina dodatkowymi pytaniami (co

pisarz na pewno potem zauważy), swoje złe sformułowane albo nietrafione kwestie formułuje się na nowo, bo to w końcu własne zdania, więc nie ma powodu, żeby zostawiać je w wersji, której nikt nie zrozumie. W końcu pisarz ma prawo do autoryzacji i z niego korzysta (niektórzy pisarze potrafią zmienić sto procent swojego tekstu!), więc absolutnie nie ma powodu, żeby pytający sobie zostawiał niedokładności i głupstwa. Jeśli pytanie jest przegadane, to jest jasne, że należy dać je precyzyjnie i krótko, a nie zabierać swojemu rozmówcy miejsce.

W każdym razie ja bardzo dbałem o dokładne oddanie logiki oraz dramaturgii naszego dialogu i w swoim sumieniu nie odjąłem Tadeuszowi żadnego punktu. Ale sądzę, że on uważał (albo nadal uważa), że ja tam sobie to i owo na jego niekorzyść dopisałem. No tu już trudno, ja na to nie mam żadnego argumentu. Przecież nikt nie będzie robił analizy porównawczej, bo ona nie ma sensu. Zresztą może ja sobie to wszystko uroiłem? Może Tadeusz po prostu uważa, że ja to za bardzo wylizałem? Tego już nie wiem, nigdy nic jasnego na ten temat nie padło. Co najwyżej jakieś pomruki, półsłówka, półzarty. Ale takie niedogadania przy wywiadach od czasu do czasu się zdarzają, nie ma na to żadnej rady. Są dwie wrażliwości i dwie pamięci, każda z nich ma swój obraz tego, co się stało. Miałem już wiele sytuacji, że jakiś pisarz kategorycznie twierdził, że czegoś nie mówił lub mówił, a na taśmie stało jak wół. To co, czy ja będę leciał do niego i podkładał mu dowody pod nos? Po co, żeby się jeszcze bardziej zdenerwował? Innych reakcji na taki proceder nie znam, a robię wywiady już trzydzieści lat. Więc i z Konwickim tego nie robiłem.

Mówiąc jednak o pracy redakcyjnej nad tekstem *Pół wieku czyśćca*, czuję się też w obowiązku oświadczyć, co zrobiłem w przedmowie do czwartego wydania naszych rozmów, że w fazie autoryzacji Konwicki okazał się najskromniejszym i najlo-

jalniejszym pisarzem, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. A jest to zawsze moment najtrudniejszy, bo pisarz – jako człowiek szczególnie wyczulony na słowo – ma ogromną potrzebę poprawienia wszystkiego, w tym przede wszystkim niekorzystnych dla siebie „wymian pilek”. Tadeusz, mając prawo dokonania wszystkich możliwych zmian w tekście, nie zmienił właściwie nawet słowa – poprawił może jakieś moje omyłki, literówki, czasem stylistykę. A przecież w tej książce znajdzie Pan bardzo wiele takich miejsc, w których każdy inny pisarz dokonałby radykalnych liftingów! Konwicki nie zakwestionował przedstawiania kolejności wątków, dopisywania pytań w celu sklejenia poprzestawianych akapitów, nie komentował wzmocnienia precyzji pytań dla „podbicia” dramaturgii. Czy rozumiał, dlaczego tak postępowałem, nie wiem. Wówczas wydawało mi się to rzeczą absolutnie normalną, jednak dopiero dzisiaj, dwadzieścia lat później, po opublikowaniu serii książek „rozmowowych” oraz opracowaniu sporej ilości wywiadów z pisarzami polskimi, potrafię w pełni docenić klasę Konwickiego oraz jego ujmującą niedbałość o własny wizerunek. Mam pewność, że pisarza tak wyzbytego pychy i życiowo mądrego nie spotkam już nigdy.

Czytelnicy Pana wywiadu doskonale wiedzą, jak Pan pracował na materiale, bo widać to na fragmentach – oznaczonych – przejętych z filmowego wywiadu Andrzeja Titkova *Przechodzień*.

No tak, jasne, ale pewnie to też nie jest żadna tajemnica. Nie ma kanonicznej metody pracy nad tekstem mówionym. Jedni „jadą” bliżej języka mówionego, inni „pisanego”. Ja uważam, że książka to jest literatura, a więc wymaga pracy i porządnej redakcji. Nawet jak się gada w radio, to – jeśli nagranie nie jest na żywo – materiał się tnie i montuje.

Wiemy, że kompozycja tej książki nie odpowiada kolejności wątków w rozmowach. Zapytałem już też jednak i o rozmowę stanowiącą pierwszy rozdział książki – od niej faktycznie zaczęły się spotkania. Czy mogę stąd wnioskować, że stosunkowo najmniej redakcji jest w partii biograficznej?

W warstwie samego języka poziom zainwestowanej pracy jest w całej książce taki sam, natomiast przestawek w partiach biograficznych było raczej mniej. Ale też nie dałbym za to głowy, bo tego nie ma dziś jak zmierzyć. Nawet w tych pierwszych częściach są duże fragmenty, które powstały później. W takiej wieloodcinkowej rozmowie często coś się przypomina po jakimś czasie, jakieś wspomnienie samo wskakuje na zasadzie dygresji, poza tym ja – świadomie, a czasem nawet z premedytacją – do niektórych wspomnień wracałem raz jeszcze po długim czasie, żeby mieć inny (lepszy) wariant lub żeby sprawdzić, czy Tadeusz mówił prawdę. On ostatecznie nie mógł pamiętać po paru miesiącach w każdym szczególe, co powiedział wcześniej. To jest bardzo skuteczna metoda. Na przykład rozmówca nie chce czegoś powiedzieć danego dnia, twierdząc, że nie pamięta, ale w dwa miesiące później, zaczepiony jakby mimochodem, powie bez oporów. Więc, gdy widziałem, że jakiś temat nie „wchodzi” albo nie „ciągnie”, to go z miejsca zmieniałem i szedłem dalej, a po miesiącu wracałem do tej sprawy dokładnie w punkcie, na którym zatrzymałem się wcześniej. Ale nie sygnalizując, że powracam. Niczego nie odpuszczałem, zawsze raz czy dwa próbowałem wrócić do tego, czego Tadeusz nie chciał powiedzieć lub kręcił. W związku z tym cały ten materiał musiałem później przekomponować i ułożyć według logicznych ciągów tematycznych. W redakcji przypominało to składanie puzzli.

Efektom tego systemu pracy było więc to, że miałem nieraz po dwa lub więcej wariantów tych samych kwestii. Redagując

później książkę, wybierałem zatem lepszy. Albo je miksowałem. To się odbywało oczywiście metodą chałupniczą – maszynopisy ciąłem nożyczkami na fragmenty, rozkładałem na podłodze (zajmując nieraz całą) i kleiłem taśmą. Tu oczywiście wyłonił się problem selekcji materiału. Tam, gdzie były dwie czy trzy wypowiedzi na ten sam temat, musiałem wybrać lepsze, ale przecież nigdy nie były one identyczne, bo nikt nie mówi dwa razy tak samo, a poza tym Konwickiemu często „doklejały” się jakieś dygresje lub inne wątki. Czasem je przenosiłem, ale jeśli nie było gdzie, trzeba było usuwać. Zawsze z przykrością, bo szkoda.

Był też ogromny problem, co rozbić z redundancjami. Może wytłumaczę to na przykładzie. Niejednokrotnie Konwicki coś zmyślał, konfabulował (celowo) lub wpuszczał mnie w maliny. Gdy czegoś nie chciał powiedzieć, spychał rozmowę dyskretnie na boczny tor. Na przykład cała ta wielka partia poświęcona wojnie została mu praktycznie wywleczona z gardła jak psu kość, a w związku z tym zawiera pełno rzeczy niepotrzebnych, które bym normalnie wyrzucił, ale tu zostawiłem, bo są dokumentem pewnej ciekawej gry psychologicznej, a to nieźle charakteryzuje pisarza.

On naprawdę nie chciał czynić żadnych wyznań na temat partyzantki, więc weksłował mnie ciągle na jakieś rozważania o swojej niechęci do kombatantstwa itp., co mnie oczywiście strasznie frustrowało, bo tak naprawdę interesowało mnie to, jak funkcjonował oddział leśny, jakie miał relacje z ludnością, w jakich okolicznościach dochodziło do gwałtów i jakie były ich konsekwencje, jak młody inteligent zachowywał się w sytuacji zagrożenia albo paniki, co się czuło, gdy kule gwizdały nad głową, a kumpel obok padał i umierał. Gadaliśmy więc, gadaliśmy, gadaliśmy, a ja ciągle nie mogłem dorwać się do tych wątków, na których mi zależało, on zaś ciągle mi puszczał rozbudowane

„węże morskie”, grając na odwrócenie uwagi lub licząc, że „zagada” problem, a ja zapomnę i nie wrócę już do porzuconego wątku. Albo że się zniechęcę i odpuszczę. Tymczasem ja twardo czekałem na moment, kiedy niepostrzeżenie będę mógł wskoczyć z powrotem w interesujący mnie wątek. Żeby go nie dotknąć, udawałem, że mówię tak pasjonująco, że ja już zapomniałem o tym zabijaniu, więc on się rozchmurzał, opowiadał o czymś innym, tratatata, a ja w pewnym momencie z uporem idioty znów pytałem o to samo. Ale musiałem: bo w jego książkach jest to ważny problem. No więc się naturalnie spinałem, bo czy on się nie zdeenerwuje moim uporem i nie poczyta go za lekceważenie? Ale też po cichu liczyłem na to, że po godzinie, dwóch takiego kluczenia już się zmęczy i samokontrola mu „puści”. Więc z uporem maniaka wracałem.

Ale teraz chcę wrócić do właściwej kwestii, czyli związku pomiędzy przebiegiem rozmowy a redakcją tego tekstu. Jeśli mam ze dwie godziny takiego kluczenia i wzajemnego wyprowadzania się na manowce, a później dopiero „właściwy” fragment, o który mi chodziło, to czy ja mam teraz to wszystko, co padło wcześniej jako zmyłka, wyrzucić (jako niefunkcjonalne), czy zostawić? Nie ma na to jasnej odpowiedzi, prawda? Zostawić w „swoim” miejscu, rozbijając dramaturgię, czy przenieść w inne miejsce, dokleić do jakiegoś „lepszego” wątku? Też nie ma oczywistych rozstrzygnięć.

W ten sposób urodziła się niebagatelna kwestia, o którą mnie Pan zapytał: tekst został pocięty i poprzestawiany tak, jak mi się wydawało słuszne i lepsze dla płynnej lektury. I tu ważny moment: mój rozmówca za chwilę dostanie tekst do autoryzacji i zobaczy, że to jakaś inna rozmowa. On takiej przecież ze mną nie prowadził! Co on sobie myśli? Jak się zachowa? Czy uwierzy mi, że tak było najlepiej dla niego, czy uzna, że to jest jakaś manipulacja? Nie wiadomo, tego

się nie da przewidzieć. A wytłumaczyć tego, proszę uwierzyć, się nie da. Próbowałem nieraz z pisarzami. Bez żadnego skutku, tak jakbym nie rozmawiał. To było zawsze gadanie dziada do obrazu. Tadeusz na szczęście to przyjął. Ale, jak mówiłem, chyba z podejrzliwością.

Rozumiem niezręczność sytuacji; zwłaszcza że w tym wypadku szczegółowych uzgodnień przed spotkaniami nie było – bo wtedy kwestia złożenia materiału w tom nie istniała...

Nawet jakby były, to ustalanie warunków na początku jest jednym wielkim udawaniem. Każdy rozmówca jest inny, a rozmowa nieprzewidywalna. Ja to wiedziałem już po *Rozmowach z Lemem*, a Konwicki pewnie też po nagraniach z Titkowem. Więc niczego nie ustalaliśmy, tylko wskoczyliśmy w to gadanie na głowę jak do rzeki. Wiedzieliśmy w końcu, że nie gramy dokładnie w tę samą grę. Mnie chodziło o to, żeby wyciągnąć z niego różne rzeczy, które mnie intrygowały, choć z góry wiedziałem, że trzeba będzie o to powalczyć, a jemu chodziło o to, żeby wypowiedzieć wszystko, co leżało mu na wątrobie. Zdecydowanie nie chciałem mu budować pomnika, bo czułem, że to będzie nieznośne, więc dążyłem do tego, żeby w sposób ciekawy, najzupełniej po ludzku pogadać.

Kiedy dziś mnie Pan o to wszystko pyta, a przecież na co dzień o tym w ogóle nie myślałem, skłonny jestem uznać, że Konwicki chyba w pewnym momencie doszedł do wniosku, że ja wiem, co robię. Czułem to, bo mi na coraz więcej rzeczy pozwalał. On prowadził swoje gry, a ja swoje. Czasem stosował chwyt, których intencji nie byłem w stanie odczytać, ale to w niczym mi nie przeszkadzało, bo on w moich intencjach pewnie też nie zawsze czytał. Przecież nie mógł wiedzieć, czy nie jestem zamaskowanym lustratorem, któremu chodzi tylko o to, żeby zdobyć od niego materiał na nową *Hańbę*

domową. Nie mógł mieć takiej pewności, zwłaszcza że o stalinizm pytałem go bez taryfy ulgowej, i to już przy trzecim spotkaniu. No, może jednak nie tak ostro, jak można było...

Wiem, że nie spisywał Pan nagrań na bieżąco, ale zapewne przesłuchiwał Pan taśmy pomiędzy kolejnymi wyjazdami do Warszawy, przygotowując się do kolejnych spotkań?

Wie Pan, niespecjalnie. Czasem jakieś fragmenty, ale tylko dlatego, że się ogromnie bałem awarii sprzętu, że coś się nie nagrało, że ujawnią się jakieś defekty techniczne uniemożliwiające spisanie. Więc raczej tylko w tym celu odsłuchiwałem. Kiedyś nagrywałem w Paryżu długą rozmowę z Zofią Romanowiczową i po powrocie do Wrocławia okazało się, że po każdej parosekundowej pauzie w nagraniu jest dziura. No, był to gruby kłopot, bo w tamtych latach wyjazd do Paryża nie był ani łatwy, ani tani. Poza tym rozmowa nagrywana raz drugi nigdy nie jest taka sama jak poprzednia. Niemal zawsze jest znacznie gorsza, bo nie ma już tej samej dynamiki.

Poza tym miałem za sobą doświadczenie z wywiadu z Jerzym Putramentem w związku ze swoim doktoratem na temat Żagarów. Spotkanie odbywało się w redakcji „Literatury”. Putrament sam zaaranżował sytuację – siadł tak, że tylko on mógł obsługiwać magnetofon. Ja miałem mu tylko podawać kasety. Specjalnie tak siadł, czego ja oczywiście nie mogłem wiedzieć, bo nie podejrzewałem żadnego podstępu.

Co mnie od razu zaskoczyło, Putrament mówił w sposób wyjątkowo otwarty i odważny. Nigdy nie przypuszczałem, że członek Biura Politycznego KC PZPR może walić tak otwartym tekstem. A byłem już po długiej rozmowie ze Stefanem Jędrzychowskim, który „leciał” kompletną nowomową. Putrament natomiast mówił jak opozycjonista, a było to chyba w '77 czy '78

roku. Nawet o tym, jak przed wojną pieniądze na działalność komunistyczną przechodziły przez redakcję „Płomyzca”, jaką rolę odgrywała w tym Wanda Wasilewska i jaki wyglądał plan przekształcenia „Żagarów” – w końcu tylko dodatku literackiego do wileńskiego dziennika – w polityczne pismo komunistyczne (tyle że „przebrane” w kostium pisma niezależnego). I tak opowiadał i opowiadał, a ja siedziałem jak na rozpalonej blasze, bo miałem przecież jasność, że wszystko, co się dzieje w tym gabinecie, musi być na podsłuchu. Kiedy skończyliśmy, szedłem do pociągu jak pijany z wrażeń. Oto jeden z najbardziej znanych aparatczyków, Machiavelli polskiego środowiska literackiego, włożył na minę – myślałem. Przecież ja to wszystko teraz spiszę i jeśli mi starczy odwagi, wyślę do „Kultury” paryskiej. Nie mogąc uwierzyć swojemu szczęściu, z czerwonymi uszami „odpaliłem” magnetofon w pociągu i... na taśmach nie było niczego. On tylko udawał, że nagrywa i na niby wkładał kolejne kasety, podczas kiedy kabel na samym początku wyłączył z sieci (wtyczka była za jego plecami). Przepraszam za tak długą dygresję...

Bardzo za nią dziękuję!

...ale zrobiłem ją po to, żeby Panu wyjaśnić dlaczego za każdym razem, gdy wychodziłem z mieszkania Konwickiego i szedłem na dworzec, dręczyła mnie taka straszna niepewność, czy się nagrało. Miałem też inne pechowe wypadki... Więc kiedy wsiadałem do pociągu, pierwszą czynnością było odtworzenie paru kawałków, żeby mieć pewność, że wszystko się nagrało. I że to nie jest żaden sen.

Nie spisywałem tego od razu, jak mówiłem, tylko tak to wszystko rosło, a kaset przybywało. Nie miałem wtedy żadnych możliwości ich skopiowania, a pewnie nawet i kupienia nowych kaset. Wtedy niczego nie było w sklepach. Nawet tych zwykłych, or-

dynarnych ORWO-wskich taśm, na jakie nagrywałem Konwickiego. Więc skopiować nie miałem na co. I tak to trwało, tym bardziej że nie miałem czasu się do spisywania, bo miałem sporo roboty na uczelni... Aż przyszedł wspomniany wcześniej znak z nieba...

Jakie duże były przerwy między spotkaniami?

Sądzę, że nie większe niż trzy tygodnie lub miesiąc.

Jak się Panowie umawialiście? Domyślam się, że była jakaś konspiracja.

Nie, myśmy dość jasno gadali przez telefon. Dzwoniłem ze swojego instytutu. Wprawdzie nie nazywaliśmy rzeczy po imieniu, ale nawet głupi by się domyślił, a u nas słuchawki oddychały. Czasem nawet jakiś bezczelny ubek wtrącał się w jakąś rozmowę. Zwłaszcza jak było coś o babach.

To sporo Pan ryzykował. UB wiedziało dokładnie, w którym dniu, o której godzinie pojawi się Pan na Centralnym i ulicy Górskiego. Może to jest pytanie niestosowne, ale je zadam: nie bał się Pan?

Dziwne, ale nie. Jedyne momenty, kiedy czułem napięcie, to kiedy wchodziłem do bramy na Górskiego, a tam na klatce schodowej siedział jakiś napakowany facet, który mnie taksował. Było dość oczywiste, że to ubol, z samej gęby było widać. Byłem wtedy pewien, że mnie zwiną, bo w samochodzie przed domem siedziało dwóch, ale jak go minąłem, to już mi się zrobiło lżej, bo miałem go z góry i wiedziałem, że mnie tak łatwo z klatki nie wyciągną. Ja trochę ćwiczyłem w młodości boks, więc wiedziałem co robić z rękami. Na dole przy drzwiach, by mnie mieli z dwóch stron, będąc u góry miałbym ich wszystkich razem poniżej siebie na wąskiej klatce. To niezła sytuacja. Ale nic się nie stało.

A gdy Pan wychodził?

Wie Pan, na ogół nie myślałem o tym. Cza-

sem ktoś mnie chyba „odprowadzał” na dworzec, ale ja wtedy tak byłem zaangażowany w tę pracę, że mnie to zupełnie nieczułało. Zresztą wszyscy naokoło konspirowali, niektórzy mieli prawdziwe kłopoty, więc trudno było się przejmować tym, czy ktoś mnie śledzi, czy nie. Zresztą ja już byłem po pierwszych inicjacjach: zatrzymanie, przesłuchanie, pobicie, szantaż. Nie byłem już całkiem „zielony”. Brałem czynny udział w wielkich zadymach wrocławskich, które były naprawdę groźne, książeczkę *SB a obywatel* miałem dokładnie przeczytaną, więc z grubsza byłem przygotowany i na nieprzyjemne warianty. Czasami, idąc do Konwy, widziałem kogoś, kto mi się wyraźnie nie podobał (ale nie zawsze). Ale jak wychodziłem, nigdy mi się nie zdarzyło rozglądać, czy ktoś za mną nie lezie. Byłem myślami w skończonej właśnie rozmowie. A zresztą co mi mogli zrobić? Co w tym nienormalnego, że literaturoznawca rozmawia z pisarzem? Niestety to, że mogą mi po prostu zabrać taśmy, jakoś mi do głowy nie przychodziło. A to był gruby błąd.

Te momenty, gdy wychodziłem od Konwickiego były trochę poza rzeczywistością. Kiedy nagrywaliśmy ten rozdział o wojnie, to pamiętam, że – nie mogąc wytrzymać – odsłuchiwałem rozmowę już w pociągu, bo się bałem, że na taśmie nic nie ma. Miałem czerwone uszy i chyba gorączkę z wrażenia! Tak mi się przynajmniej wydaje. Wiem, że to szczeniackie... Ale te partie, gdy Konwicki opowiadał o tym, na czym naprawdę polega partyzantka, co się czuje, jak się jest obiektem wielkich obław NKWD, jak się strzela do człowieka, dlaczego broń „odbija” i sama wypala... Dla mnie, chowanego głównie na propagandowej literaturze partyzanckiej, było to coś zupełnie innego, jakaś inna jakość. To było bardzo przejmujące. Zwłaszcza że Tadeusz wcale o tym tak za bardzo nie chciał opowiadać. Trzeba to było z niego podstępami wywlekać, zachodzić

go od boków, podpuszczać. Już po wyłączeniu magnetofonu, po wielu godzinach takiego podstępnego kluczenia, stęknął: – No i wreszcie wywłókl pan ze mnie tę wojnę. Jest to zresztą w książce.

Czy jeżdżąc na te rozmowy konsultował Pan z kimś podejmowane tematy i problematykę? Tworzył Pan w końcu, jak się miało okazać, najważniejszy obok sylw autokomentarz pisarza-reżysera.

Nie, z nikim nie konsultowałem. Nikomu się nie zwierzałem. Poza moją ówczesną dziewczyną – dzisiaj żoną – nikt nie wiedział, że rozmawiam z Konwickim. To był czas tak pełen napięć politycznych, a środowisko polonistyczne tak ostro konspirowało, że każdy miał jakieś swoje tajemnicze sprawy, podkręcane poczuciem misji. Każdy robił najważniejszą rzecz na świecie. Zresztą byłbym kompletnym idiotą, gdybym jeszcze latał po ludziach i opowiadał co robię. Tą metodą raz dwa dotarłoby to do esbecji, bo plotkarstwa – jak wspomniałem – było wśród nas co niemiara (dziś wiem, że i agentów bardzo blisko mnie nie brakowało – i wśród pracowników, i wśród zaprzyjaźnionych studentów) i na pewno by mi zabrano z ręki zabawki. Na przykład internowano. Do tego nie trzeba było żadnej specjalnej sankcji. Wtedy bym na pewno książki nie skończył. Więc w moim bezpośrednim interesie było nikomu nic nie mówić. Zresztą ja nie mam przesadnej potrzeby chwalenia się.

Ta metoda szasnurowanych ust się zresztą bardzo dobrze sprawdziła. Proszę zobaczyć, jak długo po wydaniu książki nie było wiadomo, kto to jest Nowicki. Pierwszy łapnął sam Konwicki na jakimś spotkaniu z opozycjonistami we Wrocławiu, co było zabawne, bo sam mnie do tego pseudonimu namawiał. Od tego momentu już się trochę rozeszło. Ale i tak nie wszyscy wiedzieli. Choć moi najbliżsi przyjaciele mnie

rozpoznali. Miałem dwie zabawne sytuacje. Moja bardzo bliska przyjaciółka, z którą przyjaźnimy się już ze trzydzieści lat, powiedziała do mnie kiedyś, ni stąd, ni zowąd: – Staszku, właśnie przeczytałam twoje rozmowy z Konwickim. I patrzyła mi uważnie w oczy. Trudno się było wypierać. Z wszystkimi kolegami szedłem w zaparte, choć nie jeden próbował mnie podpuszczać, ale tu nie było po co. Ona miała pewność. – Stasiu, przecież on mówi twoim językiem, to są twoje zwroty i sformułowania. Trudno mieć wątpliwości. Potem to samo powtórzyło się z Piotrem Siemionem, który jest moim bliskim kumplem. Któregoś dnia graliśmy w piłkę na Oporowie, bo on tam stale siedział u swojej dziewczyny, i nagle mówi: – Wiesz, czytam zabawną książkę. Facet gada z Konwickim i robi sobie z niego jaja. Trochę tak, jak ty to czasem robisz. I patrzy mi drwiąco w oczy. Oczywiście wyczuł mnie swoim literackim nosem jak pies. Nie zaprzeczałem ani nie potwierdzałem, tylko zacząłem się śmiać.

Mnie się oczywiście wydawało, że język w trakcie obróbki redakcyjnej tak szalenie się zmienia, że po cechach stylowych nikt niczego nie rozpozna, więc na poziomie języka sobie kamuflażu nie robiłem. Ale okazało się, że to nieprawda. Bliscy koledzy rozpoznawali. Widocznie nie zmienia się aż tyle.

Pan bardzo długo wydawał *Pół wieku czyścica* jako Stanisław Nowicki. Napisał Pan w przedmowie – i powiedział przed chwilą – że publikację pod pseudonimem zaproponował Konwicki.

Zwolnił mnie w ten sposób od wyrzutów sumienia, że on wystąpi pod własnym nazwiskiem, a ja pod pseudonimem. Wyraził to zresztą we wzruszająco bezceremonialny sposób: – A po co mają pana wyjechać z uczelni za tę książkę, niech pan sobie wymyśli fajny pseudonim i już. Wybrałem więc najbardziej

powszechne nazwisko po Kowalskim i dodałem własne imię, bo trudno, żeby Konwicki mówił do mnie na kartach tej książki: „panie Józefie” albo „panie Henryku”.

Ale to się łączy z inną ciekawą sprawą, o której chętnie Panu przy okazji opowiem. Wielu ludziom, gdy już było mniej więcej wiadomo, kto się pod nim ukrywa, wyraźnie to przeszkadzało. Ich diabeł kusił, żeby koniecznie się wszędzie rozeszło, że to ja. Ale nie po to, żeby mi dać order. Wręcz przeciwnie! Ja uważałem, że jak się już raz wydało książkę pod pseudonimem, to tak ma zostać. Jeśli nie miałem odwagi, by zaryzykować własnym nazwiskiem, to nie trzeba robić później gestów bohaterских. Najbardziej więc irytowała mnie ta lawina ujawnień podziemnych pseudonimów w „Tygodniku Powszechnym”, gdy już nikt nikogo za to nie wyrzucał z pracy i nie wprowadzał imiennych zapisów cenzury. Nigdy tego nie zrobiłem i „ukarałem” siebie drukiem kolejnych wydań pod pseudonimem. Dopiero ostatnie, z 2003 roku, nosi moje nazwisko. To była moja pokuta.

Rzecz jednak ciekawa: już od końca lat osiemdziesiątych niektórzy moi koledzy odgrywali takie *theatrum*, dość dla mnie przykre, że oto ja ze strachu o swoją skórę ciągle się jeszcze ukrywam. Jeden z moich przyjaciół, gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych opublikował nawet tekst w jakimś piśmie emigracyjnym, w którym „tłumaczył” mi w efektownej apostrofie, że już nie muszę się ukrywać i mogę się przyznać do tego, że Nowicki to ja. Bardzo mnie to dotknęło, bo on doskonale wiedział, że to jest z mojej strony forma ekspiacji, co mu w liście jasno napisałem. On jednak dalej grał ten teatr. Dziś niestety już wiem, co znaczą te gesty: ci, którzy nie publikowali w podziemiu, mieli z tego powodu jakiś dyskomfort albo zazdrość, i w ten sposób kompensowali sobie to złe samopoczucie. Niestety to się odbywało poprzez dyskredytację czystych

motywacji tych, którzy publikowali w drugim obiegu albo na emigracji. Doświadczyłem tego tyle razy, że trudno tu mówić o przypadku. Ale ponieważ mój przyjaciel już nie żyje, niech mu ziemia lekką będzie. Z kolei inni mnie aż tak bardzo nie obchodzą. Niemniej to było bardzo symptomatyczne zjawisko.

A kto wymyślił tytuł książki?

Nad tytułem głowiliśmy się obaj. Ja miałem swoje propozycje, a Tadeusz swoje. Ponieważ on przywiązywał ogromną wagę do tytułu, nie upierałem się przy swoich pomysłach. On chciał „Pół wieku lewitacji” albo „Życie w czyszcju”. Mnie się wydawało, że najfajniej będzie skrzyżować oba pomysły i tak powstało *Pół wieku czyszcja*. Jak padło, od razu wiedzieliśmy, że to jest to!

A jak poradził Pan sobie z całymi formalnymi sprawami związanymi z wydaniem tej książki? Nikt „wtajemniczony” Panu nie pomagał?

Wywóz maszynopisu do londyńskiego „Aneksu” załatwił sam Konwicki, bo miał jakiś swój układ ze Smolarami, natomiast druk podziemny w „Przedświcie” nagrał mój przyjaciel Piotr Mitzner. I przyszedł ten zabawny dzień, kiedy miałem zawieźć maszynopis do autoryzacji i wydawnictwa. Jechaliśmy z moją dziewczyną z Wrocławia do Warszawy „maluchem”, który się wczynie psuł, a na dodatek nie miałem kartek na benzynę, bo na coś zmarnowałem. Mam wrażenie, że na wożenie po Wrocławiu jakiegoś bossa podziemia, ale nie wiem którego, bo ukrywał się pod przyklejoną brodą i mówił do mnie konspiracyjnym, brzękłym głosem. Zmarnował mi wtedy na gubienie kompletnie wyimaginowanego „ogona” bardzo dużo benzyny, a nie miałem od kogo pożyczyć.

Więc jedziemy z Moniką patriotycznie, a tu samochód się psuje. Ciągłe to robił, więc nic dziwnego, ale wtedy stało się coś, co jest wręcz niemożliwe: wytopiło się łoży-

sko w przednim kole. Samochodem zaczęło rzucać i telepać, a jak go szczęśliwie zatrzymałem, okazało się, że oś jest przyspawana do koła... Po prostu kulki w łożysku się wytopiły, metal zastygł i łożysko się zespawało. Katastrofa kompletna: środek drogi, stan wojenny, żadnego warsztatu ani mechanika w okolicy, poza tym, gdzie kupić części? Pamiętam, jak pożyczoną piłką do metalu odpiłowywałem koło od samochodu, żeby z nim gdzieś pojechać. Było jasne, że czeka nas noc albo i kilka w samochodzie na poboczu. Wystarczy żeby się jakiś wóz milicyjny zatrzymał, a funkcjonariusz zagadał: – A pokażcie, no, obywatelu, co tam macie w środku. No, nie daj Boże, bo w środku te papiery...

Maszynopis dałem więc Monice i wyprawilem ją do Warszawy do Konwickiego, a sam zostałem z tym samochodem w rowie. Dosłownie, bo tam spałem. Nie było innego pomysłu. Dziewczyna oddała, załatwiła co trzeba, a przede wszystkim przyszła mu guzik – bo zobaczyła, że ma urwany – co spowodowało, że z miejsca się polubili. Ilekroć widzę się lub rozmawiam z Tadeuszem, z miejsca pyta o Monikę. Pewnie o tym guziku już dawno zapomniał, ale jakieś ciepło pozostało.

Konwickiemu zresztą pewnie też zawdzięczamy w jakimś stopniu, że jesteśmy małżeństwem. W każdym razie on uważa – nie wiem, żartem czy serio – że nas pożenił. Przynajmniej taką wersję głosi oficjalnie i niejednokrotnie już ją reprodukowałam, bo mi ją powtórzono. Brzmi ona następująco: – O, Stasia to ja uratowałem, żeniąc go z Braunówną. To jest fajna i zaradna dziewczyna, która potrafi zająć się facetem. Gdyby więc nie ja, on by się na pewno zmarnował w tym Wrocławiu, bo tam jest strasznie dużo pedałów. A tak to chłopaka odratowaliśmy.

Oczywiście jest to bardzo zabawna wersja, kompletnie odległa od prawdy, bo z Moni-

ką byliśmy już od dawna, ale jakiś czas później faktycznie miała miejsce moja ważna rozmowa z Tadeuszem, której on już nie pamięta, bo to sprawdziłem, ale ona faktycznie zaważyła na naszym życiu, bo wkrótce potem wzięliśmy z Moniką ślub (wcześniej żyliśmy parę lat na „kocią łapę”). Więc zmyślając, Tadeusz tak do końca nie fantazjuje.

A jaki był wpływ tego wywiadu-rzeki na pańskie późniejsze życie zawodowe?

Niewątpliwie te rozmowy zmieniły trochę moje notowanie. Nawet jeżeli ubecy nie wiedzieli, że Nowicki to Bereś, to w środowisku polonistycznym z grubsza wiedziało. Na przykład czytając recenzję Balcerzana w podziemiu, odnosiłem wrażenie, że on wie, o kim pisze, mimo że się osobiście nie znamy. To środowisko się zna, przynajmniej z czytania, bo nie jest w końcu bardzo wielkie, a takie wiadomości pewnie sobie przekazywano. W podziemiu, które było wyjątkowo plotkarskie, można się było dowiedzieć praktycznie wszystkiego. Nawet w stanie wojennym, gdybym musiał znaleźć we Wrocławiu ukrywającego się Frasyńczyka lub Bednorza, to bym znalazł bez trudu. Kiedy potrzebowałem skontaktować się z poszukiwanym listem gończym Leszkiem Budrewiczem, zajęło mi to może godzinę.

Generalnie chyba odczuwałem sympatię ze strony środowiska, mimo że uczeni literaturoznawcy nie lubią, gdy ktoś bawi się w takie rzeczy jak wywiady, bo traktują to jako popularyzację. Dla niektórych jest to wręcz zdrada. W tym wypadku jednak było jakoś inaczej. Nikt mi tego jasno w nos nie mówił, bo w końcu pseudonim wymuszał dyskrecję, ale ja to czułem. Ponieważ poloniści na ogół Konwę kochają, więc przy okazji część światła spływała i na mnie. I oczywiście, pewnie tak jak w życiu: jedni traktowali mnie z ostentacyjną sympatią, inni natomiast nie lubili. Bo nie wszystkim przecież te rozmowy się podobały. Niektó-

rych irytowały. Przynajmniej takie głosy do mnie docierały. Gdy się nie wie, że się mówi to przy autorze, czasem się coś palnie...

Jakie rzeczy ich irytowały? Redakcja?

Na przykład, że rozmawiałem z Konwickim na tematy polityczne brutalnie. Szczególnie pisarze czynni w latach stalinowskich odbierali to nieprzyjemnie. Może dlatego, że sami mieli za uszami i przychodziło im do głów, że w końcu i do nich przyjdzie jakiś historyk literatury i zapyta o ich wybory ideowe. Były też pretensje o te wszystkie wtęty w tekście, sygnalizujące stan lub intencję pisarza w rodzaju: „krzyczy”, „robi herbatę”, „gładzi kota”, „sarkastycznie” itp.

Ależ to jest niezmiernie ważne!

Ja też tak uważałem i do dziś tak robię, ale niektórzy historycy literatury uznawali, że to jest kalandria warsztatu, albo że to jest infantylne. Z tym że ja muszę Panu powiedzieć, że kiedy redagowałem rozmowy z Konwickim, to rozmowy-rzeki jako gatunek nie były jeszcze specjalnie skodyfikowane, bo takich książek było tylko parę. A więc myśmy się dopiero uczyli, jak się to robi. Ja bym nawet bezczelnie powiedział, że do dziś nie wiem do końca, jak to się robi. Z każdym bowiem autorem odbywa się to trochę inaczej... Na przykład do rozmów z Andrzejem Sapkowskim cała moja wcześniejsza wiedza, wyniesiona z rozmów z Lemem, Braunem i Konwickim, była na nic. Wszystko z nim było inaczej – od kontaktu po sposób opracowywania i autoryzacji materiału.

Ale miałem Panu skończyć odpowiedź na pytanie, jak się zmieniła moja sytuacja w środowisku naukowo-literackim. Przypuszczam, że przede wszystkim zostałem przenotowany do innej kategorii. To nasz człowiek – uznano. Środowisko polonistyczne nigdy nie było silnie zindoktrynowane, ale raczej zorientowane opozycyjnie. A zatem uznano: ten facet jest nasz. Na przy-

kład dla Giedroycia, Smolarów, Romanowiczów, Toruńczyk czy Wierzbiańskiego bez wątpienia byłem bardziej wiarygodny i ciekawy jako autor rozmów z Konwickim niż jako autor naukowych cegieł o Żagarach lub Gajcym. Oczywiście, kiedy wysyłałem do „Kultury” pierwszą recenzję czy szkic (już nie pamiętam, co było pierwsze) podpisałem: „Stanisław Nowicki”. Jestem pewien, że Redaktor z miejsca wsunął mnie w odpowiednią szufladę, bo już po trzecim wydrukowanym u niego tekście napisał: „Może by pan tak do mnie wpadł i pogadał jak człowiek?” Jasne, że natychmiast pojechałem. Przypuszczalnie bez wydanych rozmów z Konwickim nigdy by się to nie zdarzyło. Z kolei znajomość z Giedroyciem otwierała mi pewnie następne drzwi, choć ja o tym niczego nie wiedziałem. Po prostu pewne rzeczy działały się już same, jakby same z siebie. Wcześniej nie, teraz – czyli później – tak, więc na pewno nieprzypadkowo.

Nie wykluczam też, że program, jaki od jedenastu już lat prowadzę w drugim programie telewizji publicznej też ma jakiś związek z rozmowami z Konwickim i rozmowami z Lemem. Ktoś w końcu uznał, że ten facet nada się do rozmawiania z pisarzami. Nigdy wcześniej takiej propozycji nie otrzymałem. Może to przypadek, a może nie. Ale raczej ktoś uznał, że jeśli ten facet poradził sobie z Lemem i Konwickim, to i nada się do publicznego przegryzania gardel pisarzom. Na jakiejś podstawie musiał to sobie wymyślić.

W przedmowie do ostatniego wydania *Pół wieku czyśca* czytamy, że podejmował Pan zabiegi o dalszy ciąg rozmów. Tak jak *Rozmów z Lemem*. Dlaczego do tego nie doszło?

Faktycznie, był taki plan. Jak Pan pamięta, rozmowy z Konwickim ukazały się cztery razy: w podziemnym „Przedświcie” i emigracyjnym „Aneksie”, a po wielu latach w „Interimie” i „Wydawnictwie Literackim”. Kiedy

przygotowywano wydanie ostatnie, redaktor Małgorzata Nyczowa rzuciła pomysł, żeby książkę poszerzyć o zapis nowej rozmowy, obejmującej ostatnich dwadzieścia lat, a zatem upadek komunizmu, przemiany po „okrągłym stole” i dzieje III RP. Bardzo pragnąłem, by tak się stało, ale wkrótce okazało się, że Tadeusz nie chce już więcej rozmawiać. Spotkaliśmy się w kawiarni na Świętokrzyskiej, gdzie namawiałem go do tego z całego serca. Nie znalazłem, niestety, dostatecznie mocnych słów i niezbitych argumentów, by go do tego przekonać. Stałem się i żarliwie perorowałem, ale wszystkie słowa były jak grochem o ścianę. Pisarz, jak się okazało, uważał naszą książkę za zapis historyczny, który – rozbudowywany i zmieniany – straciłby swój pierwotny charakter, a kompozycja utworu uległaby zachwianiu. To była zresztą przejmująca, by nie rzec chwytająca za gardło rozmowa, bo Tadeusz mówił w sposób absolutnie otwarty o swoich sprawach rodzinnych, zarówno przeszłych, jak i aktualnych, trochę jakby przy tym podsumowując życie. Chyba nigdy wcześniej ze mną w ten sposób nie rozmawiał. Ja z nim zresztą też nie. Atmosfera i ciężar tej rozmowy – wkraczającej momentami w sprawy eschatologiczne i mistyczne – miały taką wagę, że problem nowej wersji

książki sprzed lat stawał się wobec nich mało istotny. W każdym razie moje „ziemskie” argumenty były wobec nich niczym.

Jak napisałem we wspomnianej przez Pana przedmowie, mam wrażenie, że Konwicki uważa atmosferę czasu, w którym rozmawialiśmy, za niemożliwą dziś do podrobienia, a żaden z nas nie nadaje się już do tego liftingu, bo jesteśmy obecnie kimś innym niż wtedy – starsi o niemal ćwierć wieku, mądrzejsi o lata agonii komunizmu i rodzenia się nowej Polski, ale i sfrustrowani przepaścią pomiędzy naszymi pięknymi marzeniami a obrazem ponurego politycznego targowiska. A gdybym miał zajrzeć na samo dno swoich niewypowiedzianych myśli, to myślę, że Tadeusz – najzwyczajniej po ludzku – nie miał już sił na kolejną partię podchodów albo (co gorzej) wiary, że w obliczu ostateczności ma to jakiegokolwiek znaczenie.

Stanisław Beres – historyk literatury, krytyk, eseista, poeta, tłumacz; profesor w Instytucie Filologii Polskiej oraz Katedrze Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Od 1996 redaktor „Telewizyjnych Wiadomości Literackich” (TVP 2, TV Polonia), w latach 1996–2004 juror Nagrody Literackiej NIKE, od 2006 r. Nagrody Literackiej Europy Środkowej ANGELUS. Opublikował 23 książki, w tym kilka rozmów-rzek z pisarzami polskimi.